

KAZIMIERZ KONARSKI

# LEGENDY

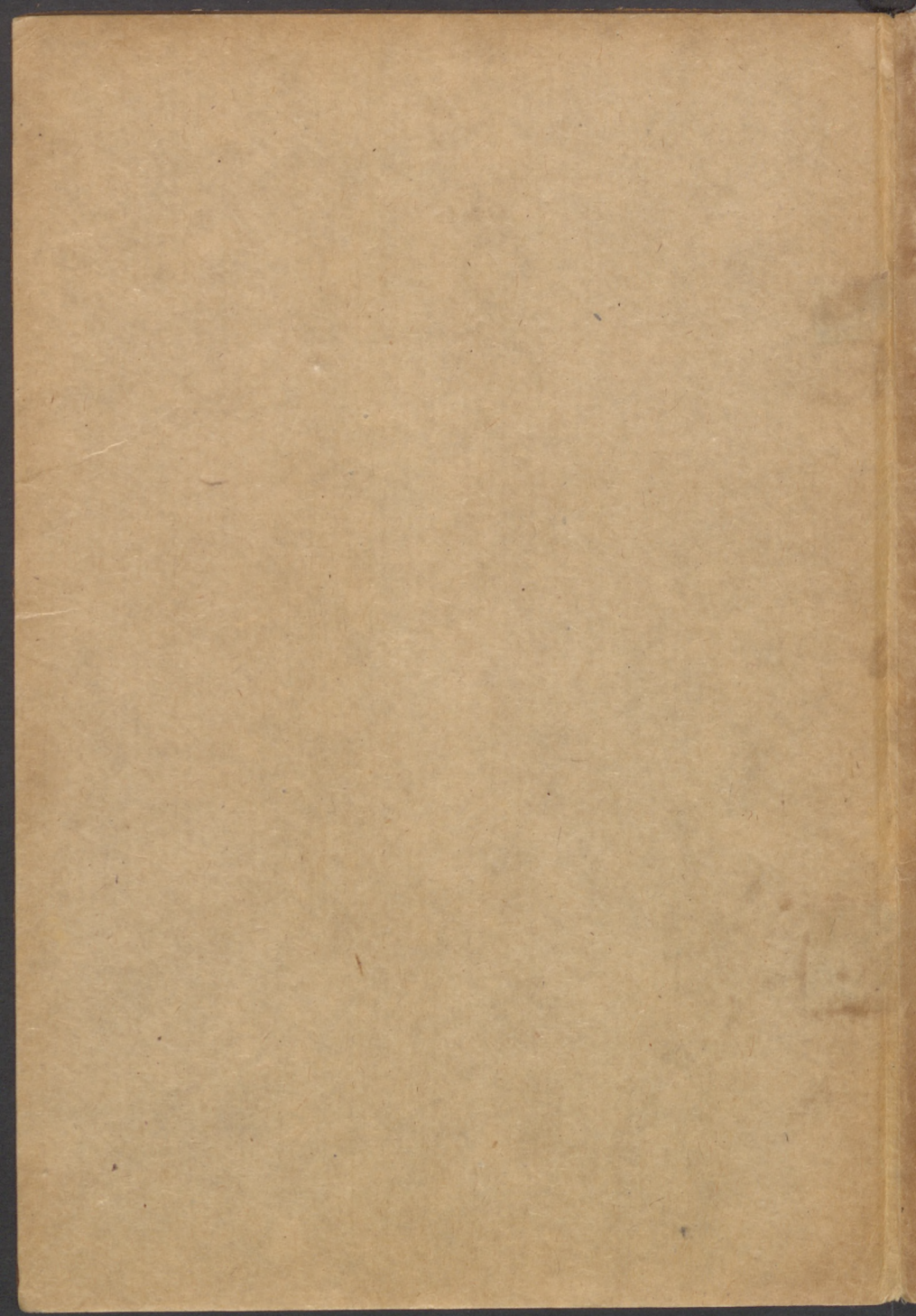
Z ILUSTRACJAMI WANDY ŚWIEŻYŃSKIEJ

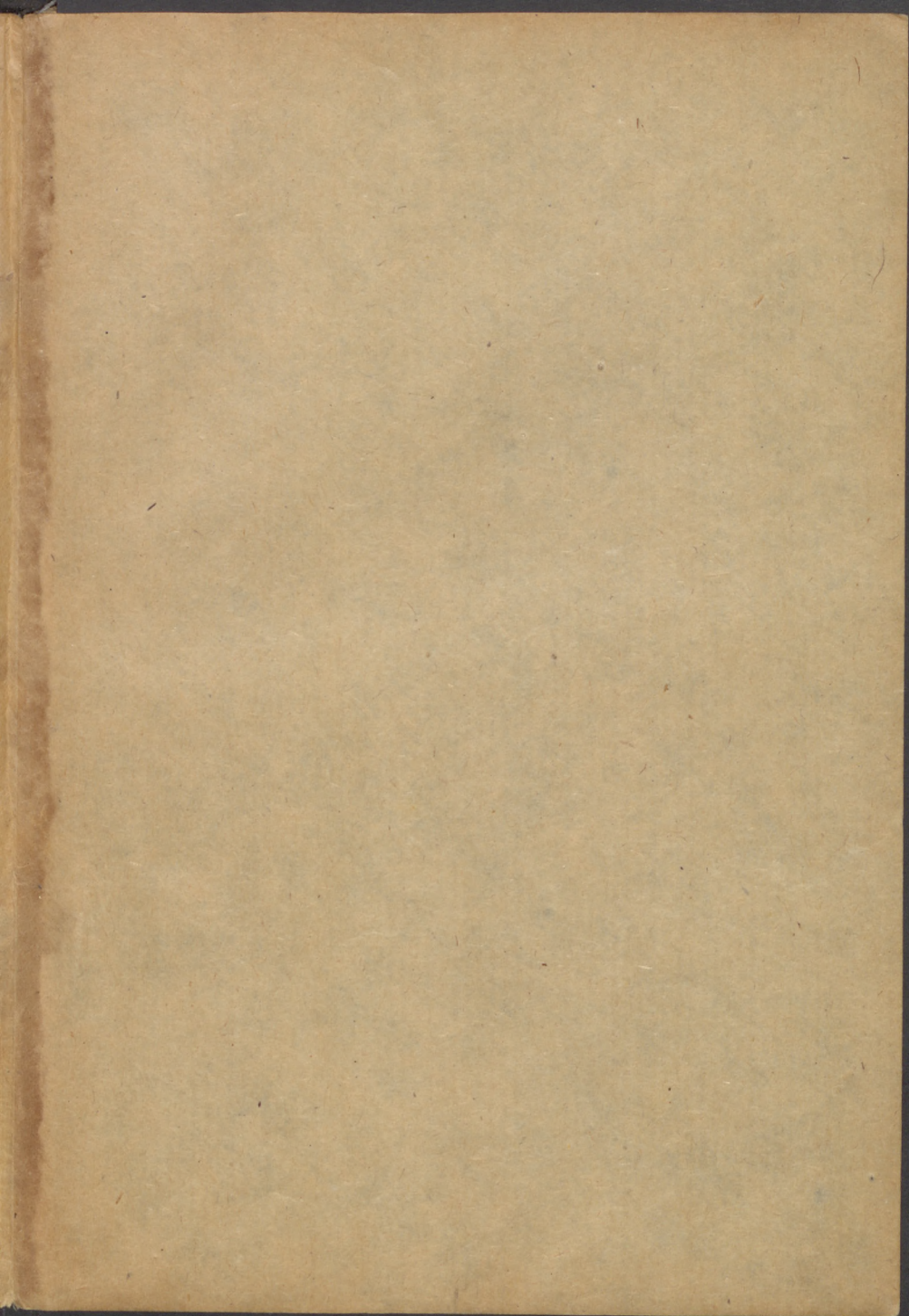


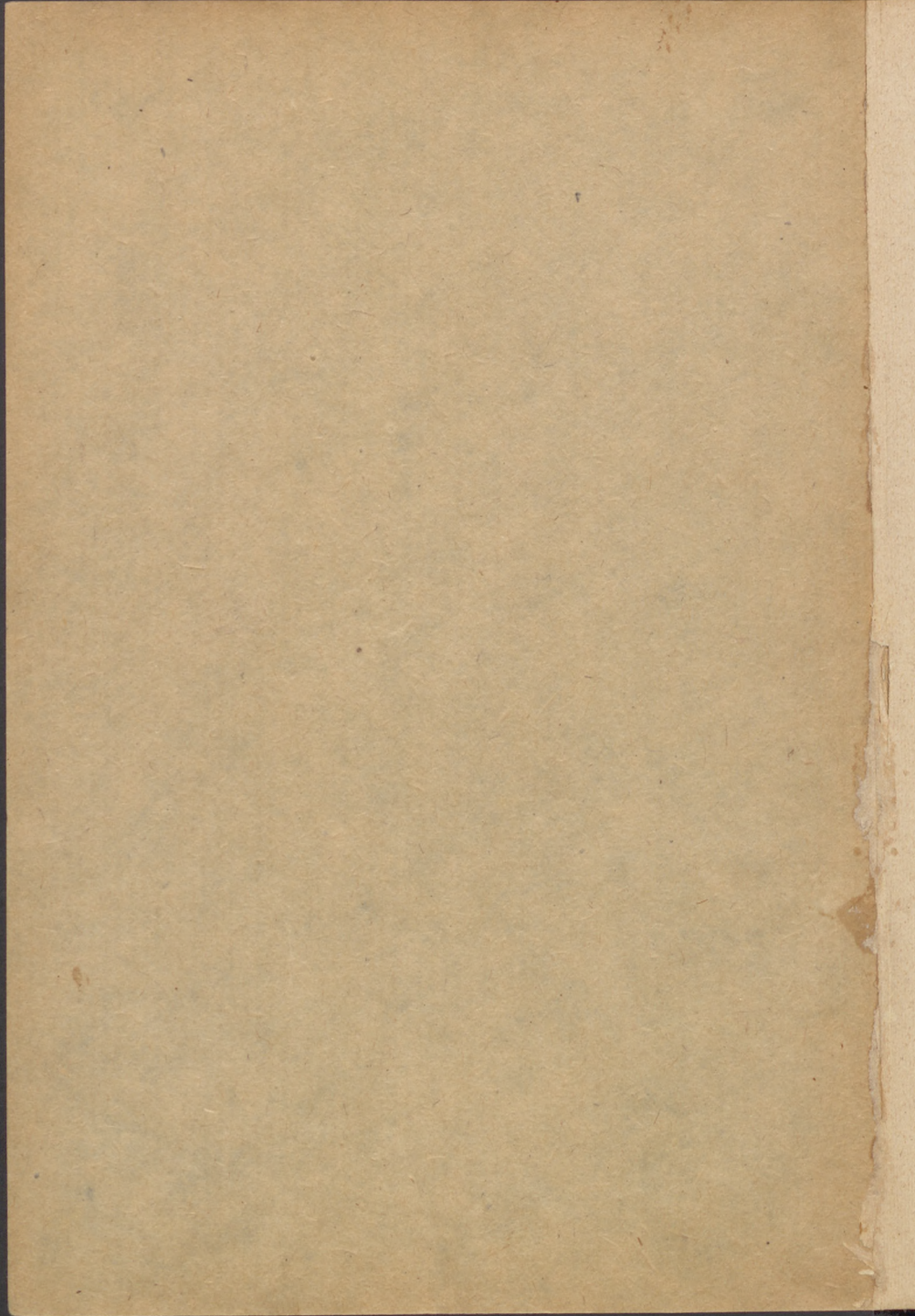
WARSZAWA

„KSIĘGARNIA POLSKA” TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

1929.







KAZIMIERZ KONARSKI

# LEGENDY

Z ILUSTRACJAMI WANDY ŚWIEŻYŃSKIEJ



WARSZAWA  
„KSIĘGARNIA POLSKA“ TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ  
1929.

Bibl. Publ. m. st. W-wy

Dar 9173, Cont. zbior. księgi!

Bibl. Publ. m. st. W-wy  
Rezerwa

17677

Biblioteki Państwowej

Nr. D.XI

Nr. Inw. @

303

## 1. NOWY ROK.

Utarł się już w niebie zdawien dawna taki obyczaj, że w wigilję Nowego Roku święty Piotr wszystkie polskie lata do siebie sprasza na skromną niebieską Sylwestrową biesiadę. Schodziły się wówczas ze wszystkich stron starce na powitanie nowego staruszka, który do nich tego wieczora z Polski przychodził. A że mieszkali z osobna, rozproszeni po całym niebieskim folwarku, więc schodzili się gromadkami po sąsiedzku, kto się tam z kim bliżej przyjaźnił, trzymając się pod rękę, bo choć w niebie drogi proste i równe, ale... strzeżonego i Pan Bóg strzeże, a stare kości kruche, ach, jak kruche.

Święty Piotr, jako gospodarz, koło wieczerzy się krząta. Święty Sylwester mu pomaga, aniołowie piwo grzane w dzbankach roznoszą; z kuchni niebieskiej tak smakowite płyną zapachy, że się staruszkom same nosy w tę stronę wykręcają.

Z każdą chwilą coraz się tych staruszków schodzi więcej. Już się gęsto w wielkiej niebieskiej sali robi. Byli tam starcy króla Mieszka pamiętający i młokosy z ostatnich lat, co im broda ledwie siwieć zaczynała. Byli wojskowi i cywilni postrojeni w różnorodne stroje, jako się tam kiedy w Polsce ubierano. Byli dobrze odżywieni, dziarscy jeszcze mimo sędziwego wieku, były i mizeroty, ledwie trzymające się na nogach, obdarte, chude i głodne. Ten i ów szedł

o kulach, z ręką na temblaku, albo i zgoła bez ręki. Najgorzej pokiereszowane były lata wielkiej wojny. Tam na czterech ledwie się pięciu nóg dorachował. Rok 1917 przynieśli słudzy niebiescy w lektyce, bo nie miał siły iść o własnej mocy. Zato sąsiad jego 1918 krzepko się trzymał, orzełka sobie do szarego strzeleckiego munduru przyczepił, a choć bliznę miał przez całą gębę, przecież całkiem na kallekę nie patrzył.

Na dany znak jęli się szykować. Dziesiątnicy ustawiali swoje dziesiątki, setnicy — wieki. Dopiero wtedy okazało się, że wielu roczników brak. Zwłaszcza od starszego końca. Święty Piotr frasobliwie o swoich gości pyta: a kto? a co? a dlaczego? Ten się zaziębił, ów nogę zwichnął, jednemu gospodyni tak napaliła w piecu, że mało nie zacządział, drugiemu but zgubiła, trzeciego swoja zamknęła na klucz w mieszkaniu i sama zabrała się gdzieś w świat. Ach, te gospodynio! Mocny Boże!

Podeszli do stołów i siedli w ordynku. Jedno miejsce jak zwykle wolne.

Zakurzyły się misy, zapieniły szklenice, zaszumiał gwar rozmowy. Hej, mieli oni sobie co opowiadać, stare gaduły. Tyle lat, tyle lat. Dola i niedola. Zwycięstwa i klęski. Złote, promienne nadzieje i czarne, gorzkie zawody.

W pewnej chwili gdzieś hen, w dole, od Wawelskiego wzgórza dobiegło dalekie, ale wyraźne bicie dzwonu z zegarowej wieży.

— Marjacki dzwoni, czy katedra? Nie, chyba Marjacki.

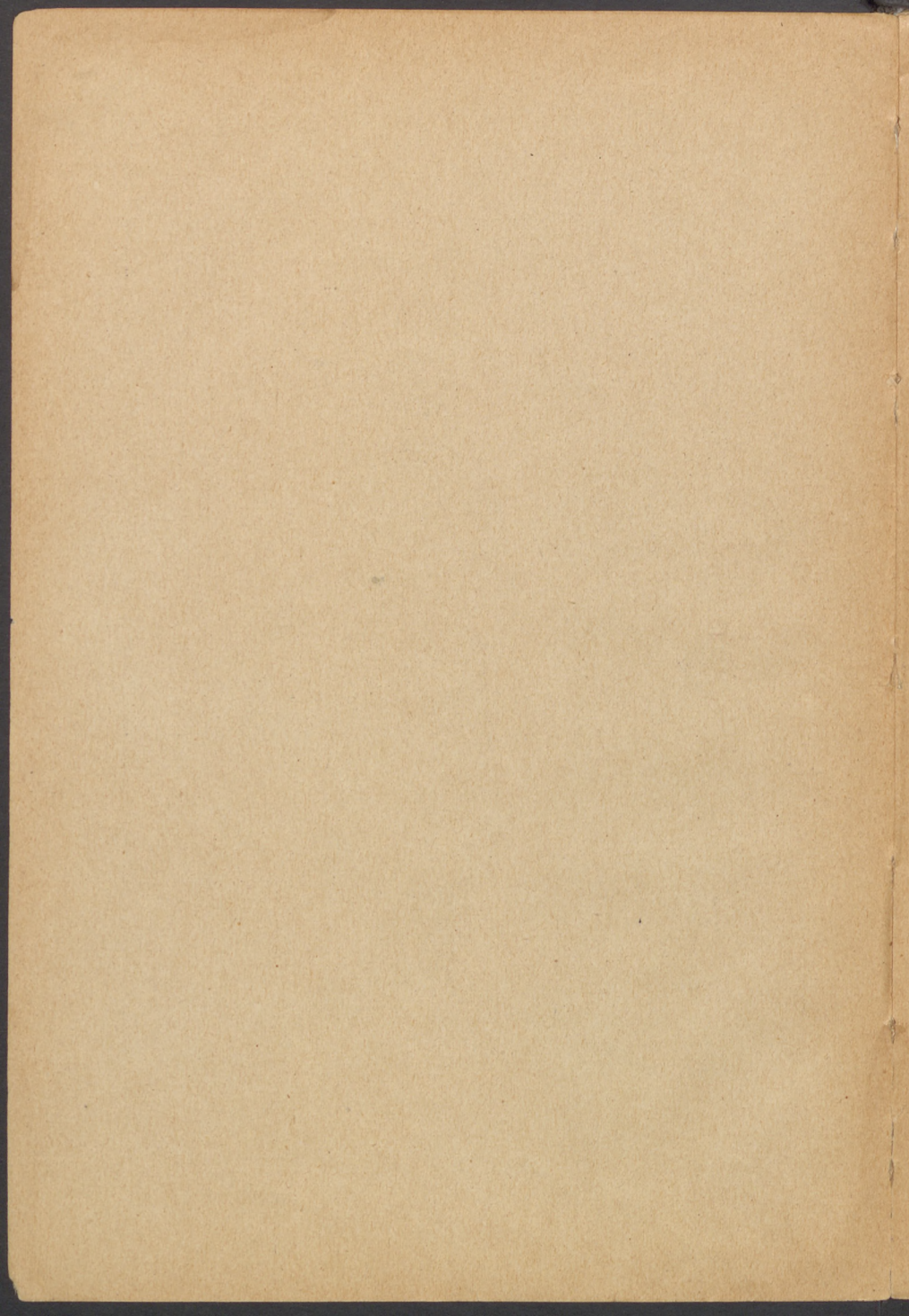
— Raz... dwa... trzy...

Ucichły rozmowy. Starce liczą uderzenia. Dwunasta już, czy dopiero jedenasta? Co rok się to powtarza, możnaby się już oswoić, zdawałoby się, a zawsze się człowiekowi dziwno w duszy robi.

Pięć... sześć... siedem...







W rytm uderzeń zegara pulsują serca. Stare zacne serca polskie.

Dziesięć... jedenaście...

Chwila naprężonego oczekiwania. Tak krótko, a wiekiem się wydaje.

Dwanaście!

Skrzypnęły drzwi. Do komnaty wszedł rześkim krokiem ułan w pełnym uniformie, z szablą u boku. Jakże mu ślicznie z tym białym zawieszistym wąsem na ściągłej ogorzałej twarzy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — gruchnęło grzmotem popod sklepienia.

Ułan podszedł do świętego Piotra, stanął na bacność, salutuje.

— Wasza Miłość! Rok 1928 melduje się na rozkaz.

— Bywaj, chłopcze! Ale czemu w mundurze? Wojny przecież u was w Polsce niema.

— Niema, aleśmy dziesięciolecie niepodległości w tym roku święcili, a że tę niepodległość nie kto inny wyrąbał, jeno polski żołnierz, więcem się po żołniersku wystroił.

— Prawda to, już dziesięć lat. Jak też ten czas lecił!

Z za stołu podniósł się rok 1918. Zbliżył się. Ręce rozkrzyżował.

— Bywaj, bracie!

Padli sobie w objęcia.

Trwali w nich długo i długo huczały o sklepienia niebios wiwaty i okrzyki biesiadników.

## 2. KROKUSY NAJSWIĘTSZEJ PANIENKI.

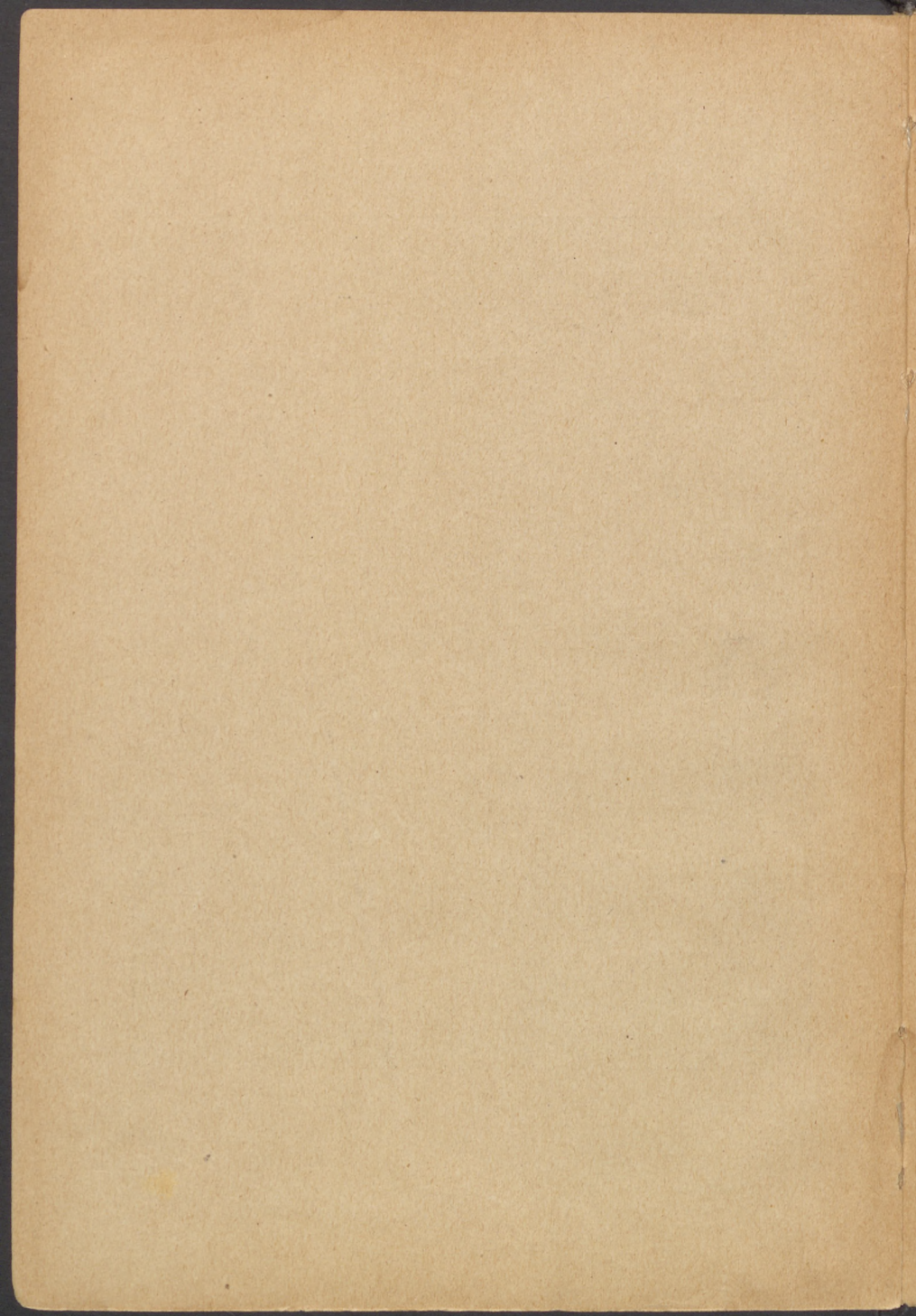
Kiedy Matka Boża płynie nad światem, to dobre uczynki ludzkie, w małe gwiazdeczki się zamieniwszy, na płaszczu Jej osiadają. A kiedy przyjdzie jesień i ziąb zaczyna bobrować po świecie, a mróz za uszy szczypać, kiedy liście z drzew oblecą i ziemia zastygnie, wtedy Boża Matuła potrząsa swym płaszczem, a małe srebrne gwiazdeczki sypią się białym tumanem na ziemię i miękką pierzynką otulają wszystko: i wątle piórka oziminy, i śpiącą głębokim zimowym snem biedronkę, i wielkiego starego misia, i szare strzechy ludzkie.

A zły duch, który nigdy nic nowego wymyślić nie może, tylko wiecznie głowę łamie nad tem, jakby to, co jest na świecie, popsuć i przeinaczyć, umyślił zrobić to samo ze złemi uczynkami. Chwytał je po świecie, lepił z nich kulki lodowe i potem w czas letni, kiedy zboże już kłosa miało, rzucił w nie temi kulkami. Padają ścięte niwy, leją się gęsto łzy ludzkie, zaciera ręce z uciechy zły duch.

\* \* \*

Okropne się rzeczy działy na ziemi, jak się raz styceń z lutym za łby wzięli. Najgorsza, wiadomo, wojna między braćmi. O co im poszło, niewiadomo; powiadają, że się styczniowi zmyliło i że chciał o jeden dzień dłużej





panować, ale kto ich tam dojdzie, o co wojna, dość, że wojna. A że jak się moźni tłuką, to te razy — wiadomo — najbardziej biedni czują, więc też krzywdy padło na świat z tej wojny ogromnie dużo. Takich mrozów najstarsi ludzie, ba, nawet najstarsze dęby w lesie nie pamiętały. Trzeszczą z mrozu boleśnie drzewa, ginie setkami zwierzyna w polu i w lesie, wróble cisną się pod strzechy, dzieci do komina. Zdawało się, że i sam ogień nawet krzepnie od tego mrozu.

Matka Boża resztki śniegu ze swego płaszcza wytrząsa, ale czy to że dobrych uczynków było tego roku mniej, czy mrozów więcej, dość, że wszystkiego tego było mało.

Idzie Boża Matula przez lasy, przez góry, gdzieś aż popod Tatry. Znalazła w śniegu nawpół zmarzłego zajączka, wzięła go na ręce, odchuchała i puściła, potem dwa gile, co się były poczubily o ziarenko, znalezione na drodze, pogodziła, wyszukawszy w fałdach płaszcza drugie ziarenko, tak że dla obu starczyło.

Idzie. Wychodzi na polanę i oczom swym nie wierzy. Polana odstonięta ze szczętem, ani odrobiny śniegu. Tu i ówdzie sterczą zeschnięte szerniałe badyle zeszlorocznych ziół, skostniałe trawki trzęsą się z zimna, postępuje głucho pod stopami zmarznięta ziemia.

Matula Boża za głowę się chwyciła. Co się to stało, że o tej łące zapomniiała? Lasy ją zasłoniły, czy jak, że nie dostrzegła? Prędejl! Śniegiem przysypać! Może jeszcze ocaleją te trawki. Potrząsnęła Matka Boża swym białym płaszczem. Oderwały się dwie, czy trzy ostatnie gwiazdki śniegu. Potrząsnęła drugi raz. Napróżno. Już nic nie upadło. Trawki, które, zoczywszy Matkę, podniosły radośnie dziedzielka wgórze, opuściły je teraz ze zwątpieniem. Tak im zimno, tak im strasznie zimno! A tu śniegu dla nich zabrakło. Tak, zabrakło. Co to będzie?

Co będzie? Matula długo się nie namyśla, jeno płaszcz z pleców ściąga i na polanie rozkłada, do Niebieskiego Swego Syna modlitwę szepcząc, by pozwolił płaszczowi nakryć całą polanę.

Pozwolił. Matceby rodzonej odmówił?

Odżyły pod białym Matczynym płaszczem trawki i zioła, krokusy, pierwiosnki i stokrocie. A kiedy odżyły, to zaraz jęły radzić, jakby tu Bożej Matuli podziękować za ocalenie. I uradziły, żeby na Jej chwałę zakwitnąć, nim jeszcze śniegi spłyną. Krokusy się tego podjęły. Powiadają, że potrafią.

Jak uradziły, tak zrobiły. Uzbierały potrochu między sobą odrobinę ciepła, dały krokusom, a one wypuściły pędy, pokryły się pąkami i wyległy na płaszcz. A kiedy się pąki w słońcu rozwinęły, pokrył się płaszcz cudownym liljowym haftem.

I odtąd Matka Boża zawsze krokusy na płaszczu nosi.

I może dlatego, żeby drugi raz jakiej polany nie przeoczyć, najdłużej zawsze nad Tatrami swój płaszcz otrząsa. Ale żeby najgrubsze śniegi leżały, to zawsze o przedwiośniu zakwitają tam na śniegu krokusy Najświętszej Paniienki.



### 3. Ł Z A.

Powódź rosła z godziny na godzinę. Gdzie okiem sięgnąć, widać było bure, złe, spienione fale, jak biły o zator lodowy, zalegający zwartą, spiętrzoną ławą całe łożysko rzeki, a potem zmęczone, omdlałe rozchodziły się w dwie strony, krążąc i wirując przez pewien czas, by usnąć później przy brzegach ogromnego jeziora, jakie się w dolinie rzeki rozlało. Po mętnej żółtawej wodzie pływały kry, pasma brudnej szarozółtej piany, szczątki porozrywanych strzech, belki, deski, sprzęty domowe i gospodarskie, trupy zwierząt. A po brzegach krążyły gromady ludzkie, wygnane ze swych siedzib, z jękiem żalosnym spoglądające na marniejący dobytek, na zniszczone sadyby, na unoszone przez wodę i lody nadzieje spokojnego jutra. Choć od zatoru szedł zgiełk i gwar, to jednak było słychać daleko te jęki i płacze, niesione wiatrem, który i swoje wiekuiste zawrodożenia między ludzkie plątał, że nawet i trudno było rozeznaczyć, który płacz ludzki, a który wiatrowy.

W miejscu, gdzie najwyżej spiętrzył się zator, gdzie najgęściej zjeżyły się ogromne kry lodowe, stała na wysokim urwisku nad samą rzeką kamienna figura Matki Bożej. Widok stamtąd był rozległy, bo przeciwny brzeg był niski i płaski jak stół. Cóż, kiedy teraz, gdzie oko dojrzało, aż hen po sine góry błękitniejące woddali, ciągnęła się jedno-

lita tafła wód, z której sterzczały jeno czubki drzew i wierzchołki dachów. Zachód był pogodny, słońce tonęło w wodzie, która cała zdawała się płonąć od purpurowych blasków zorzy. Widok był wspaniały, ale tchnął potworną grozą śmierci i zniszczenia.

Party coraz większą masą wód zator bronił się rozpaczliwie. Fale, nie mogąc złamać oporu mas lodowych, jęły szukać sobie drogi pod lodem w łożysku rzeki. Już tu i ówdzie w środku zatoru bucha woda z pośród zwałów lodowych; już tu i ówdzie drżą i chwieją się kry, podminowane wdzierającym się od dołu żywiołem.

Na urwisku nad rzeką, na wysokim kamiennym słupie, stoi Matka Najświętsza. Stoi i patrzy. Serce jej się kraje na widok tak szeroko po świecie rozlanej niedoli ludzkiej.

Dopłynęła do niej fala niesionego wiatrem ludzkiego płaczu.

Serce matczyne ścisnęło się jeszcze mocniej. Na bladym kamiennem obliczu ukazała się łza. Czysta, jasna, gorąca. Jak wielka perła, zsunęła się po Najświętszem Obliczu, po szatach, spłynęła po zboczu, uderzyła o lód. Nie wytrzymał zetlały wiosenny lód gorącej łzy matczynej. Coraz to głębiej drąży ona sobie drogę w lodzie... już sięga dna...

Buchnęły z pod zatoru tryumfujące zwycięskie fale.

Zator spłynął.

#### 4. M A T K A.

Za wsią na rozstajnych drogach stała figura Matki Boskiej, wtulona w wielką kępę bzów i jaśminów. Błogosławiła wsi i światu całemu, uśmiechała się do Boskiego swego Dzieciątka, do ludzi, do ptasząt, co wyśpiewywały od świtu do nocy nad jej głową, do kwiatów, co u jej stóp rosły.

Najbardziej lubiła dzieci. Że to był maj, to schodziła się tego drobiazgu pod wieczór cała gromada na majowe nabożeństwo.

Czasem przychodziła z niemi pani nauczycielka, czasem chodziły same ze Stefką młynarzówną, która, jako najstarsza, modlitwy im i litanje czytała.

Przynosiły dzieci, co tam które miało. Leżała jeszcze pod figurą fujarka, co ją Stach wykręcił z wierzbiny i Panu Jezusowi przyniósł, żeby mu się tam na figurze nie cniło siedzieć. Cała figura obstawiona była garnuszkami, a w nich kwiatów moc, co je dzieci za dnia uzbierały. A że jaśminy i bzy rosnące koło figury akurat kwitły, więc Matula Boża cała w kwiatach tonęła.

A jednego dnia, kiedy się już dzieci po nabożeństwie rozchodzić miały, został przy figurze mały Wojtuś sierotka, co u sołtysa za pastuszka sługiwał; zaczekał, aż wszyscy poszli, i pocichutku skradając się ku podstawie figury, położył na niej małą kromkę chleba. Czarnego sierocego chleba.

Nie miał biedny Wojtuś ani matki, ani ojca. Sam był na świecie, ludzi się bał, a tylko do tej Niebieskiej Paniienki przychodził zawsze z ufnością i kochaniem wielkiem. Bo ona jedna tylko miała dla niego zawsze miły, łagodny uśmiech, a choć nic do niego nie mówiła, zawsze mu się od tego spojrzenia jasno w duszy robiło.

Ściemniło się. Wrócił do wsi Wojtuś, zjechali z pola gospodarze. Tonie już wszystko w ciemnej mgłę zmroku, nie widać już wsi, tylko czarne kępy drzew znieruchomiałe w wieczornej ciszy i tylko gładka tafla stawu lśni resztkami blasków. Kwiaty układają się do snu, jeden tylko jaśmin nic jeszcze o spaniu słyszeć nie chce. O tej porze jego kwiatki najmocniej pachną, najszerzej płatki swe rozkładają. Ot, marek nocny. Spać już, spać!

Zbiera się do spania i Królowa Niebios. Miała ona pracy za dnia wiele. I wszystkich bied ludzkich słuchać, i gniewy uciszać, i od krzywdy bronić, i za wszystkimi się wstawiać. A i kwiatkom trzeba pomóc, od rannego chłodu i południowej spieki ochronić i wracającym z ciepłych krajów ptakom drogę do domu pokazać. I dzieci przygarnąć, co z modlitwą do niej przyszły, i Wojtusia sierotkę przytulić.

Zbiera się już Matula Boża do snu, Jezusiczka ogarnia i ciepłym przyodziewkiem okrywa, żeby Dzieciątko w nocy nie zziębło.

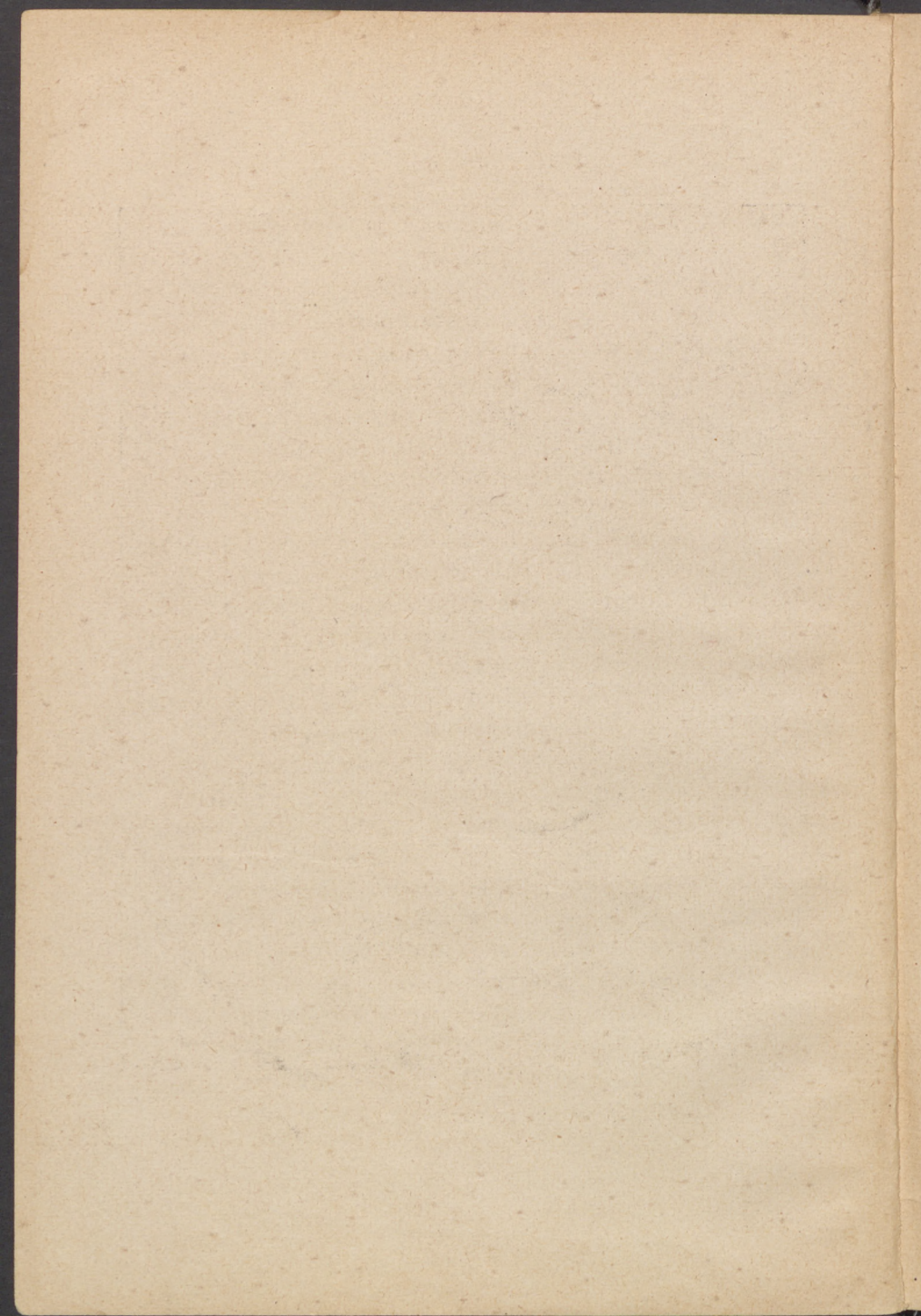
Nagle wśród wieczornej ciszy rozległ się słabiutki, ledwie dosłyszalny pisk.

Drgnęło serce matczyne.

Piszczący znowu. — Co to?

Wyteżyła Matka Najświętsza oczy i patrzy, a tu tuż koło między, niedaleko figury, ukryte w trawie gniazdko skowroncze, a w niem kilkoro piskląt. Matka ich z wieczora odleciała i nie wraca, a im i głodno, i chłodno.





— Mamuś! Mamuś! — wołały jedno przez drugie, drżąc ze strachu i zimna.

Matce Boskiej luto się zrobiło na sercu. Sieroty jakies widać. Trzeba iść pomóc.

I niewiele myśląc ruszyła Najświętsza Panienska na miedzę. Drzemiącego już Jezuska położyła na podstawie, poprosiwszy jaśminów o opiekę nad Dzieciątkiem i baczenie, by nie spadło. Stuliły się jaśminy wokoło podstawy w gąszcz nieprzebyty, a Panienska Niebieska, pochwyciwszy Wojtusiową kromkę, ruszyła miedzą ku gniazdku. Przystadłszy na ziemi, rozchyliła trawę i drobnymi okruszynami karmić poczęła szary drobiazg pisklęcy.

Tak zastała ją skowronkowa matula. Biedactwo miało nóżkę skrwawioną a skrzydła pomięte i nastroszone. Szukała jakiegoś robaczka i tak nieszczęśliwie nóżkę w jakąś szczelinę w chróścianym płocie wsadziła, że jej dłuższy czas wydostać nie mogła. Szarpała, szamotała się, skrzydełkami biła, wszystko napróżno. Kiedy wreszcie ze strasznym bólem wyciągnęła nóżkę, noc czarna już ogarnęła świat.

Co tchu w piersiach, co siły w zmęczonych i obolałych skrzydłach, ruszyła skowronczyna matka ku gniazdku. Jakież było zrazu jej przerażenie, gdy zobaczyła jakąś postać nachyloną nad gniazdkiem. Ale oto przestraszona mija; widzi szarzejący w mrokach niebieski płaszcz, a nad głową świetlany krążek. Wzruszenie i wdzięczność odjęło jej siły. Cicho spłynęła i usiadła u stóp Matki Najświętszej.

Ofiarowała szara ptaszyna dzieci swe służbie Bożej i odtąd skowronki wlatują zawsze z piosenkami swemi wysoko, wysoko w niebo.

Ale najwyżej lecą, najczęściej i najpiękniej śpiewają w czasie majowego nabożeństwa.

## 5. BOŻE PTASZYNY.

Cichy kościółek wiejski. Wysoko, wysoko nad wielkim ołtarzem stała figura Matki Bożej. Śliczna była. Niebieska sukienka spływała jej do stóp, na rękę w białej koszulince spało uśmiechnięte Boże Dzieciątko.

Latem chyliły się do jej stóp przez otwarte okna kosmate gałęzie lipowe, pozłociste od kwiatów, brzęczały pszczoły, szumiały zboża, dzwoniły nocami do snu Dzieciątka słowiki.

Pewnej wiosny uwiły sobie pod figurą gniazdko jaskółki u samych stóp Bożej Matuli.

Uwiły cichaczem, nikt nie zmiarkował, ani ksiądz proboszcz, ani stary Wojciech, kościelny. Tak się te ptaszyny cicho sprawiały, że już i pięć ślicznych nakrapianych jajeczek w gniazdku leżało, a nikt jeszcze o tem nie wiedział, że one tam gniazdko mają.

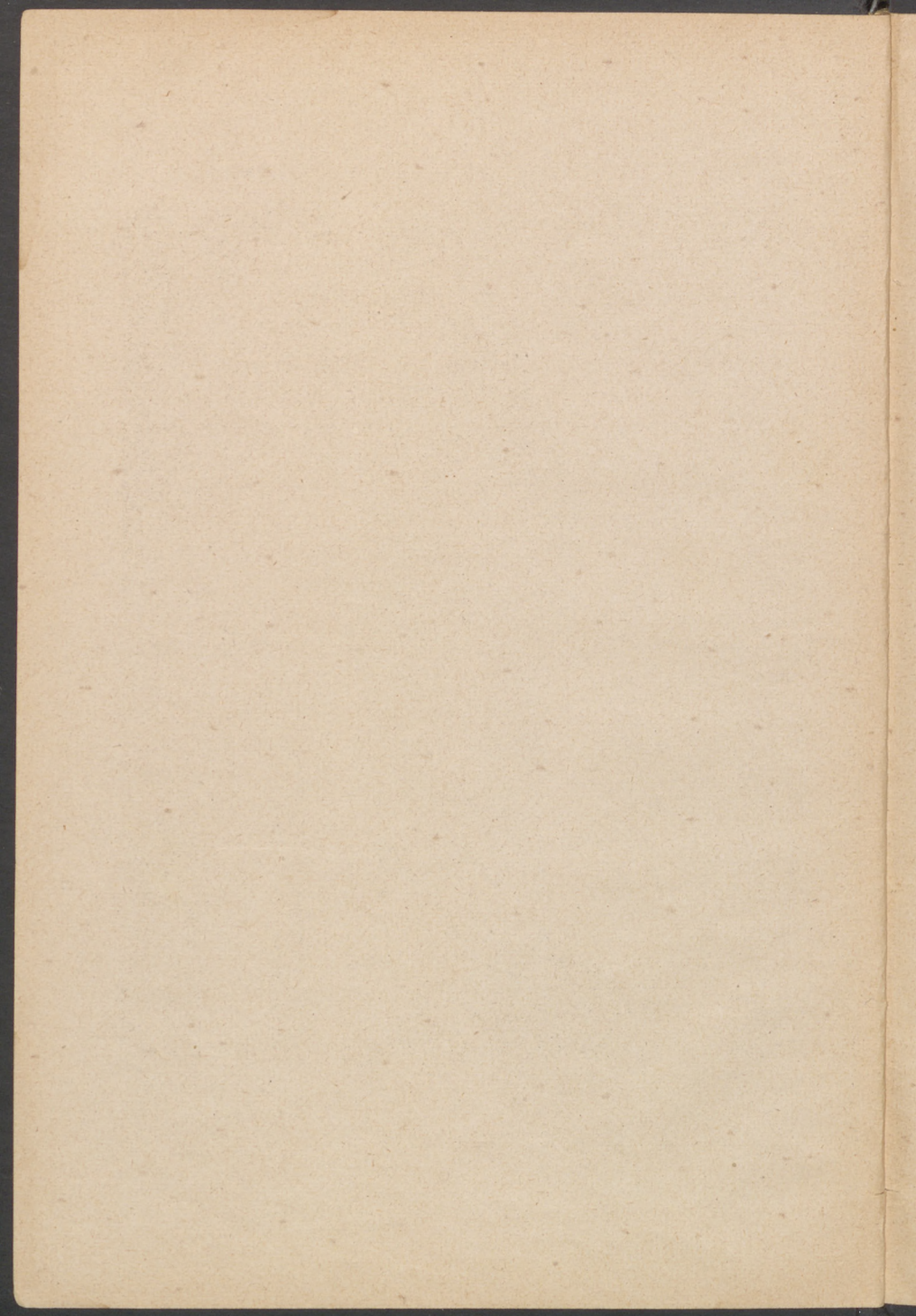
Aż tu kiedyś, w czasie sumy, do organów i wielkiego ludzkiego śpiewania wmieszał się hen w górze nad ołtarzem cieniutki pisklęcy głosik.

Zrazu jeden, potem dwa, potem cała kapela. Aż się rozlegało w kościele. Jak te dzwoneczki, co w nie przymszy dzwonią.

Stary Wojciech sturbował się srodze. Jakże tu na taki despekt Najświętszej Panience pozwolić! I skąd one się







tam wzięły? Niema miesiąca jeszcze, jak wyłaził na ołtarz, żeby figurze św. Hieronima nogę przykleić, co się była odkleiła, i nikomu się wtedy o jaskółkach nie śniło.

Ledwie się też suma skończyła i Wojciech za ostatnią babą kościół zamknął, wyciągnął gdzieś z kąta drabinę, do ołtarza przystawił i włązić zaczął.

Niesporo mu tam z tem włożeniem szło. Sapał jak miech kowalski, butem o but zawadzał, kubrak na gwoździu podarł, wazonika z kwiatami o mały włos na ziemię nie zrzucił.

Wreszcie wylazł. Pod figurą ciemnawo było trochę, stary przytem niedowidział zdziebko; byłby też pewno na gniazdo łatwo nie natrafił, gdyby nie jazgot i pisk, jaki się z niego podniósł.

Piszczwały piskłeta w gnieździe jedno przez drugie, szamotała się w kącie, bijąc skrzydłami w wielkiej trwodze, jaskółczyzna matula.

Już sięgał Wojciech ręką po gniazdo, by je ze świętego miejsca usunąć, kiedy nagle uczuł, że go ktoś za ramię chwyta, a jednocześnie przedziwny słodki głos spłynął ku niemu zgóry:

— Nie trzeba, Wojciechu, nie trzeba. To także stworzenie Boże. One także na chwałę Bożą żyją i na chwałę Bożą śpiewają. Zostawcie mi je, Wojciechu! I Dzieciątko moje mi zabawia...

Wojciechowi ręka opadła. Oczu w górę podnieść nie śmiejąc, poblądłemi wargami „Pod Twoją obronę“ zaszeptał i schodzić z drabiny począł.

I już na niesporach grały znowu w kościele dwie kapele. Na organach wygrywał po staremu siwy pan Kajetan, organista, a wysoko z pod figury odpowiadały mu cieniućkie głosiny jaskółczynej gromadki.

## 6. ŚWIERSZCZYKOWE SKRZYPKI.

Szedł drogą szary świerszczyk okrutnie strapiony. Skrzypce zgubił. On, pierwszy grajek na całą okolicę, co się bez niego żadne wesele nigdy nie obyło, co na pierwszym miejscu w kapeli siadywał tuż przy skowronkach, jak przyszło na majowym nabożeństwie albo na sumie śpiewać, on, muzykant jakich mało, skrzypce zgubił...

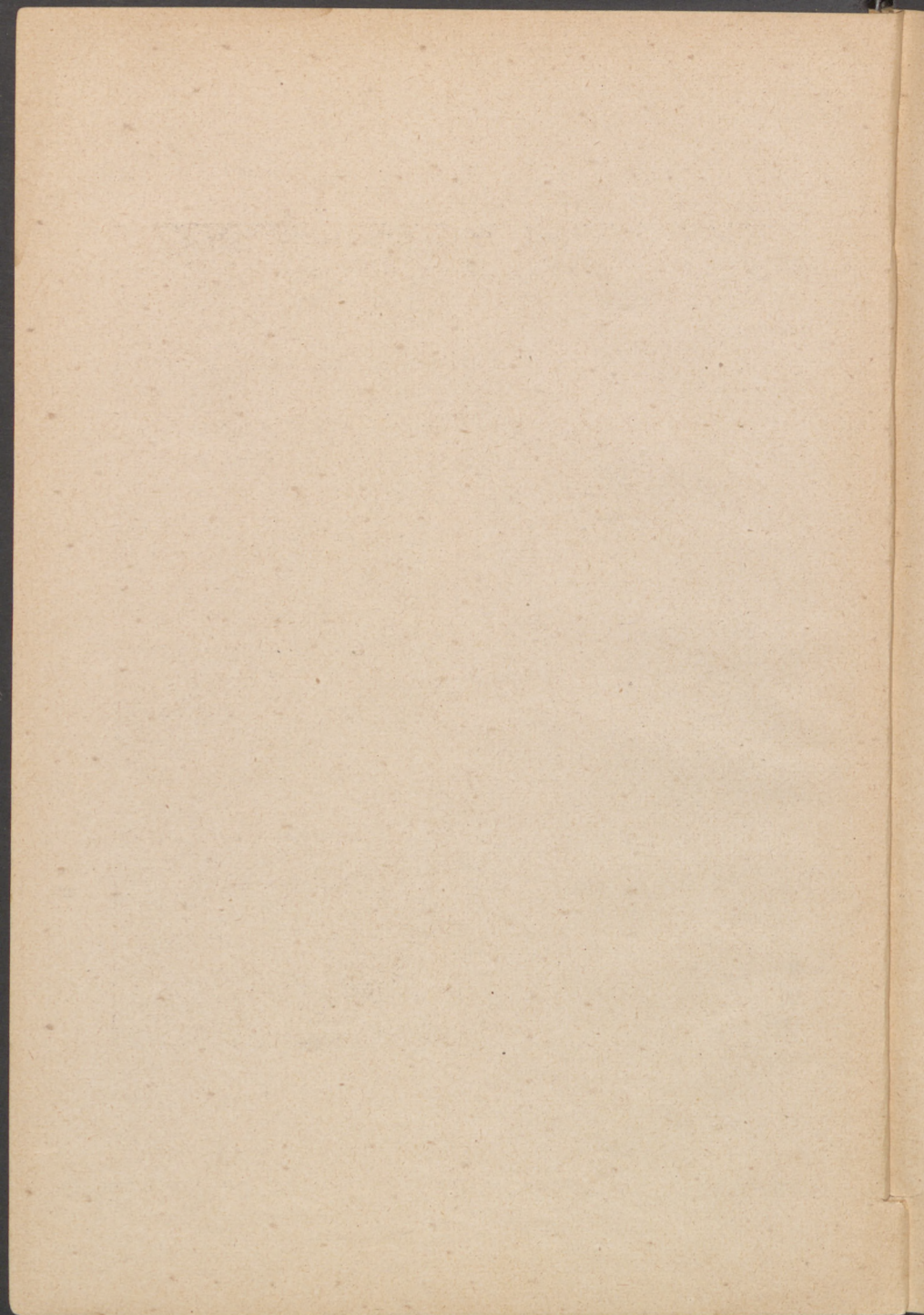
Jeszcze wczoraj przecież grał na nich na oczepinach smółki, co się zamaż za gwoździka wydawała; jeszcze onegdaj przygrywał biednemu staremu ostowi, który ciężko zaniemógł, postępując zcicha, z boku na bok się przewracał i bez świerszczykowej piosenki nijak zasnąć nie mógł.

Co on z niemi zrobił? gdzie je podział? Czy mu się w wykrot kreci pod ziemię zapadły? czy mu je woda zabrała? czy z wiatrem poleciały? Szukał i szukał. Niema i niema.

A tu jutro akurat Matki Boskiej święto. Siewna Pannienka, wiadomo, po polach chodzi, po miedzach zielonych, po ugorach czarnych wypoczętych. Chodzi, łaskę i błogosławieństwo po niwach sieje, ziarno po komorach gospodarzom święci. Jak człek sprawiedliwy, to mu i sadybę pobłogosławi, jak nie, to jeno spojrzy smutno i idzie dalej. Ale ziarno poświęci, bo ono ludzkiej złości nie winno.

Wszystko, co tylko w polu żyje i głos z siebie dobyć może, będzie jutro śpiewało i grało, ile sił w duszy, ile





mocy w piersiach. A on! On, pierwszy po skowronku polny muzykant, siądzie jutro w kącie skulony i niemy i będzie patrzył, jak się jego kapela do grania szykuje, jak gra, jak się trawy w pas kłaniają, jak dzwonki polne do wtóru na „Anioł Pański“ dzwonią, a z dalekiego jeziora trzciny zaszumią.

Pochylił świerszczyk głowę nisko, ciężko mu w duszy, wlecze się powoli, nogi, takie skoczne zwykle, co ich przy graniu utrzymać nigdy nie mógł, bo każda w inną stronę skakała, teraz płątały się pod nim, że się ledwie po zakurzonej drodze poruszał.

Nagle głowę podniósł, bo go jakiś cień wielki ogarnął. Patrzy, a tu mija właśnie kapliczkę z Matką Boską, w wielkich lipach przy drodze schowaną.

Tknęło go. A może mu Boża Matula w jego strapieniu pomoże? Wszystkim pomaga, dla czegożby jemu pomóc nie miała, co Jej wiernie służył. Ale jak tu poprosić? Żeby skrzypki swoje miał, toby na nich zagrał. Hej, mocny Boże, jakby zagrał! Ażby się stare lipy dziwowały, choć stare są i siła już na świecie widziały. Ale bez skrzypiec jakże? Śpiewać ni mówić przecież nie umie.

Przypomniął sobie, że widział kiedyś dzieci pod kapliczką klęczące, ze złożonemi do modlitwy rękami.

— A nużby i mnie tak spróbować? — pomyślał.

Ale nie było to tak łatwo. Kosmate, szare, twarde łapy w żaden sposób z przodu zejść się nie chcą, choć je świerszczyk wykręca, aż mu w stawach wszystko trzeszczy. Uu! jak też to bolil! Umordował się biedak, upadł na ziemię parę razy i wszystko na nic.

Nie dam rady. Co tu zrobić? Może za plecami, jak skrzydła, spróbuję złożyć.

To poszło dużo łatwiej. Łapki zetknęły się i wyciągnęły ku górze. Cały spotniały z wysiłku, świerszczyk pod-

niósł teraz głowę i spojrzął na figurę Najświętszej Pani. O dziwo! Z pośród kwiatów i wianków, macierzanki i wrzósów spływało na drogę, na kurz i na skulonego w nim drobnego owadka ciche, przejaskne spojrzenie.

Poderwało się coś w świerszczyku; podskoczył, łapki jeszcze silniej wyciągnął, o skrzydło potrącił.

I nagle rozległ się dziwny, cichutki, świeży dźwięk. Jakby ktoś maleńką kosę ostrzył i kamyczkiem o nią trącał.

— Ćwirr... Ćwirr...

Zdumiał się świerszczyk, obejrzał się dokoła siebie, ktoby to tak ładnie koło niego ćwierkał. Niema nikogo. Co to?

— Ćwirr... Ćwirr...

— Co to znaczy? Czyżbym to ja sam tak umiał. Aha, to moje łapki tak świergoczą.

I po kwadransie śpiewał już świerszczyk z całej siły nową, nieznaną piosenkę.

Bołały go wprawdzie paluchy od tarcia, ale komuż ich będzie żałował. Może Bożej Matuli?

A na drugi dzień grał na swoim miejscu koło skowronków, jeno nie na skrzypcach, tylko na łapkach. Grał, aż huczało pod same niebiosy.

A po tygodniu wszystkie świerszcze w całej okolicy (a powiadają, że i dalej) porzucały swoje skrzypki, nauczywszy się nowej świerszczykowej muzyki.



## 7. RYNGRAF.

Pobojowisko. Armata z przetrąconem kołem, rozbita kuchnia polowa, drzewo wydarte z ziemi granatem. Broni pełno wszelakiej, porozrzucanej tu i ówdzie. Jakieś szmaty leżą brudne, skrwawione, jakieś papiery latają z wiatrem po polu.

Pod jałowcowym krzakiem leży ranny żołnierz. Ranę ma ciężką; spisa kozacka nawylot go niemal przeszyla. Byłby może na miejscu został, gdyby nie stary ryngraf z Matką Boską, co go na piersiach nosił, starodawna rodzinna pamiątka, Bóg wie, jakie czasy i jakie boje pamiętająca. Na nim się spisa oparła i bokiem, mijając serce, poszła, rysę jeno na szerniałej, pozłacanej kiedyś blasze zostawiwszy.

Ranny leżał cicho, nie jęczał nawet, choć rana dokuczala mu okropnie. Chwilami drzemał, to znów budził się. Odurzony był, w głowie dudniał wciąż jakiś nieustanny, głuchy szum.

Nagle zdjął go strach. A nuż go tu zostawia? Ruszyć się nie może. Rana krwawi. Jak nie przewiążą zaraz, to z samego upływu krwi zamrze. Zrobiło mu się żal młodego życia, poczuł się nagle strasznie opuszczony, osamotniony, daleki od swoich, od rodziny, od matki rodzonej.

— Mamol — rozległ się dziwnie głucho w tem pustkowiu napoły jęk, napoły głos rannego chłopca.

Na ten dźwięk drgnęło coś na szerniałej blasze ryngrafu i oto zniknął zeń nagle wizerunek Najświętszej Paniienki, a zato u wezgiłowia rycerzyka usiadła postać niewieścia w powłóczystym niebieskim płaszczu. Rękę miękką położyła mu na włosach, na czole wycisnęła cichy, długi, matczyny pocałunek.

— Mamol! To ty? — zaszeleściło ledwie słyszalnym szeptem z suchych, ściśniętych bólem warg chłopca.

— Tak, tak, to ja, dziecko. Śpij spokojnie, jestem przy tobie, kochanie.

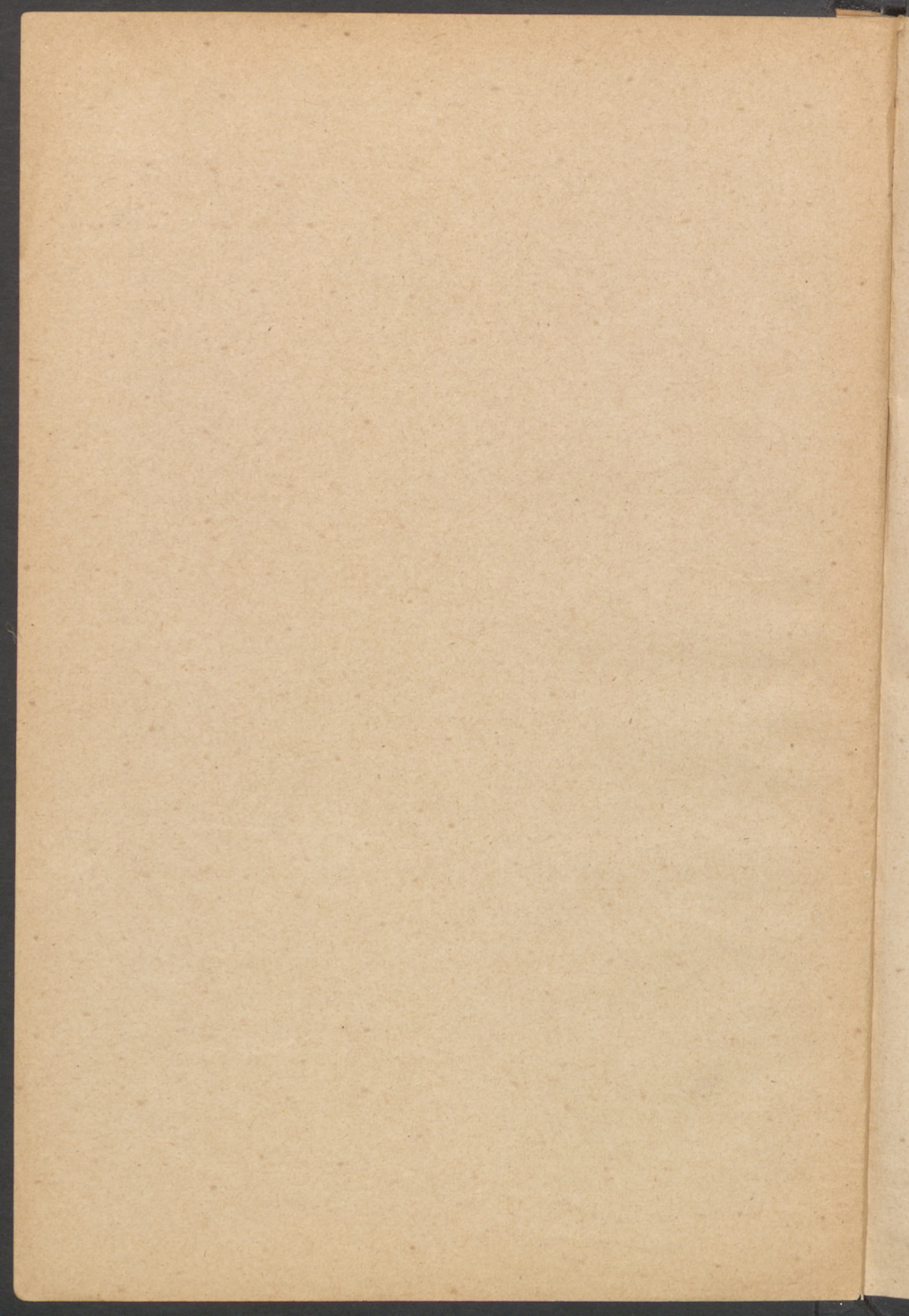
Fala niezmiernego szczęścia spłynęła na pobladałą twarz. Znikły gdzieś precz niepokoje, obawy, strachy; aż mu dziwno nawet pomyśleć, że kiedyś mogły być tak blisko. Nawet i rana już tak nie boli strasznie. Matczyną rękę czuje na głowie i z tych kochanych palców spływa mu w duszę jakaś dziwna, błogosławiona cisza, słodycz i ukojenie. Ach, jak mu dobrze, jak dobrze!..

— Mamol! — mówi po chwili, — pomóż... mi... się pomodlić. Tak mi .. ciężko mówić... — rwał słowo po słowie z gardła... Pod... pod... pod Twoją..

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... — podpowiada półgłosem Święta Boża Rodzicielka, a chłopiec nabrzmiałym od łez głosem, utykając co chwila, powtarza za matką słowa modlitwy. I z każdym słowem słabnie ból, a wzmaga się nieobjęte, nieogarnione uczucie szczęścia, miłości i przywiązania do niej, do matki, która przyszła do niego w chwili tak ciężkiej niedoli.

Nie odmówił jeszcze modlitwy, kiedy ogarnął go sen. Zdrowy, młody, złoty sen. Najświętsza Paniienka ciągle jeszcze rękę na głowie mu trzyma.





Zamajaczyły zdala jakieś postacie. Sanitarjusze. Krzątają się po polu; coś tam zbierają, schylają się, noszą. Nie widzieli nic, jak Najświętsza Panienska do piersi swemu rycerzykowi przypadła a na ryngrafie pokazał się znowu ściemniały od starości, zatarty wizerunek.

Nie widzieli nic.

## 8. KRZYŻYK ŚW. MIKOŁAJA.

Św. Mikołaj przeciągnął się w fotelu.

Lato było, roboty nie miał żadnej, do zabawek zabierał się dopiero w jesieni. Pan Bóg pogody zesłał piękne, ciepło, obiad Marcinowa dała godny, to się i zdrzemnął krzyne starowina. Obudził go huk jakiś daleki, jakby od strony ziemi płynący. Przekrzywił staruszek głowę, to jedno ucho nadstawia, to drugie — nad słuchuje.

— Ki lichy hałasy jakieś wyprawiał! Święty Piotr dywany trzepać kazał, czy jak? Nie, to niemożliwe, popołudniu nigdy nie trzepią. Marcinowa, idźcieno naprzeciwno i dowiedzcie się, co się tam dzieje.

Marcinowa wróciła z niczem: nikt nic nie wie, niczego dopytać się nie mogła. Ani u św. Bartłomieja, ani nawet u św. Rocha, co zawsze wszystko wiedział.

Dopiero później od św. Piotra dowiedział się stary, że to bolszewicy na Warszawę idą i tak już pono blisko podeszli, że armatnie strzały aż w niebie słychać. Każdemu przecież wiadomo, że Warszawa bliżej nieba leży, niżli ta ich zatracona Moskwa.

Zafrasował się staruszek. Polskę znał, jakby się w niej urodził, i lubił ten kraj bardzo. Niedarmo rok w rok na Gody przemierzał ją wszerek i wzdłuż z kosturem w ręku i ciężkim worem na plecach. Do białych pól, do czarnych

lasów zawsze się przyjaźnie uśmiechał, dziecińskie płowe główki głąskał, zabawki rozdając, a i dla starszych miał zawsze w zanadrzu dobre słowo. Tak się cieszył przed półtora rokiem, kiedy, przyszedłszy na Gody w r. 1918 do Polski, nie zastał w niej ani Moskala, ani Niemca! A kiedy po roku przyszedł znowu na Boże Narodzenie, to wprawdzie słyszał, że się tam gdzieś kajsi na wschodnich dalekich bezdrożach biją, ale że bili tęgo, prali Mochów, aż drzazgi leciały, to i nie było się czego martwić.

Ale teraz! W głowie mu się pomieścić nie mogło. Jakto? Bolszewicy pod Warszawą? kiedy? jakim sposobem? Taka dzicz bezbożna! Kamienia na kamieniu nie zostawią. A co z Polską będzie? Ponuro patrzył przed siebie staruszek, nasępiwszy wielkie, krzaczaste, siwe brwi.

Nagle ocknął się z zadumy. Jakaś radosna myśl przewinęła mu się przez głowę, zamigotała żywą iskierką w oczach, ożywiła twarz uśmiechem, wyprostowała przygarbione plecy.

— Pójdę z nimi na tych zbójów... Zapiszę się do polskiego wojska...

Aż pokraśniał cały z tej decyzji i zasapał się ździebko.

— Stary jestem, to prawda (tłumaczył sam sobie półgłosem), ale niechno który młodzik spróbuje tak oblecieć świat cały na piechotę, jako ja to robię co rok. A i na wojaczce się znam nie gorzej od pierwszego lepszego żołnierza, co zęby zjadł na żołnierce. Bom to wojskowo nie sługiwał? He?

Istotnie za młodych, młodych lat służył św. Mikołaj w armji niebieskiej, kiedy to niebo z duchami ciemności walki toczyło, i nawet rangi pułkownika w gwardji archanielskiej się dosłużył. I boje polskie nie były mu obce, bo św. Jerzy, wódz naczelny nieba, wysyłał go parę razy do Polski na pomoc przeciwko niewiernym, Turkom i Tatarom, którzy coraz głębiej zalewali Rzeczpospolitą. A jakże, pa-

mięta, i pod Wiedniem był, i pod Chocimem. Pod Chocimem mało go z całym niebieskim szwadronem pohańcy nie ogarnęli. Jakże tu takiego kraju nie kochać, co go się własną piersią broniło. Dopiero jak Polska z Turcją wojować przestała, wystąpił święty Mikołaj z wojska niebieskiego i dzieciom się w służbę oddał.

Staruszek wstał, wyprostował się i krzepkim krokiem jął chodzić po izbie.

— Zapiszę się, — mruczał. — Tutaj w niebie człek z nudów niedługo na ocet skiśnie, a tam każda para rąk teraz się przyda. Na Gody zdążę, bo się wojna do tego czasu pewno skończy. Zapiszę się. Ale do jakiej broni? Do ułanówby może spróbować. W amarancieby mi ładnie było z mojemi siwemi włosami... Tfu! do licha! — zachnął się nagle. — Staremu się elegancji zachciało. A do piechoty nie łaska? Co rok piechotą świat obchodzisz, toś do piechoty najzdadniejszy. A możeby jednak artylerja?...

Tak ci on rozmawiał i rozprawiał sam z sobą. Nagle przypomniał sobie Marcinową i trochę przystygł w zapale. Ta będzie zrzędzić dopiero! A to szalika nie wziął, a to kalosze pogubił. Jakby to na wojnie miał kto czas pilnować szalika czy kaloszy. Dobrze to z duszy i serca babsko, ale gderliwe, że je! Święty Mikołaj Turków i Tatarów się nie bał, ale przed Marcinową mores znał. — Będzie sądny dzień, — myślał — jak się babina dowie. A zrzędy, a płkanie, a lamenty!...

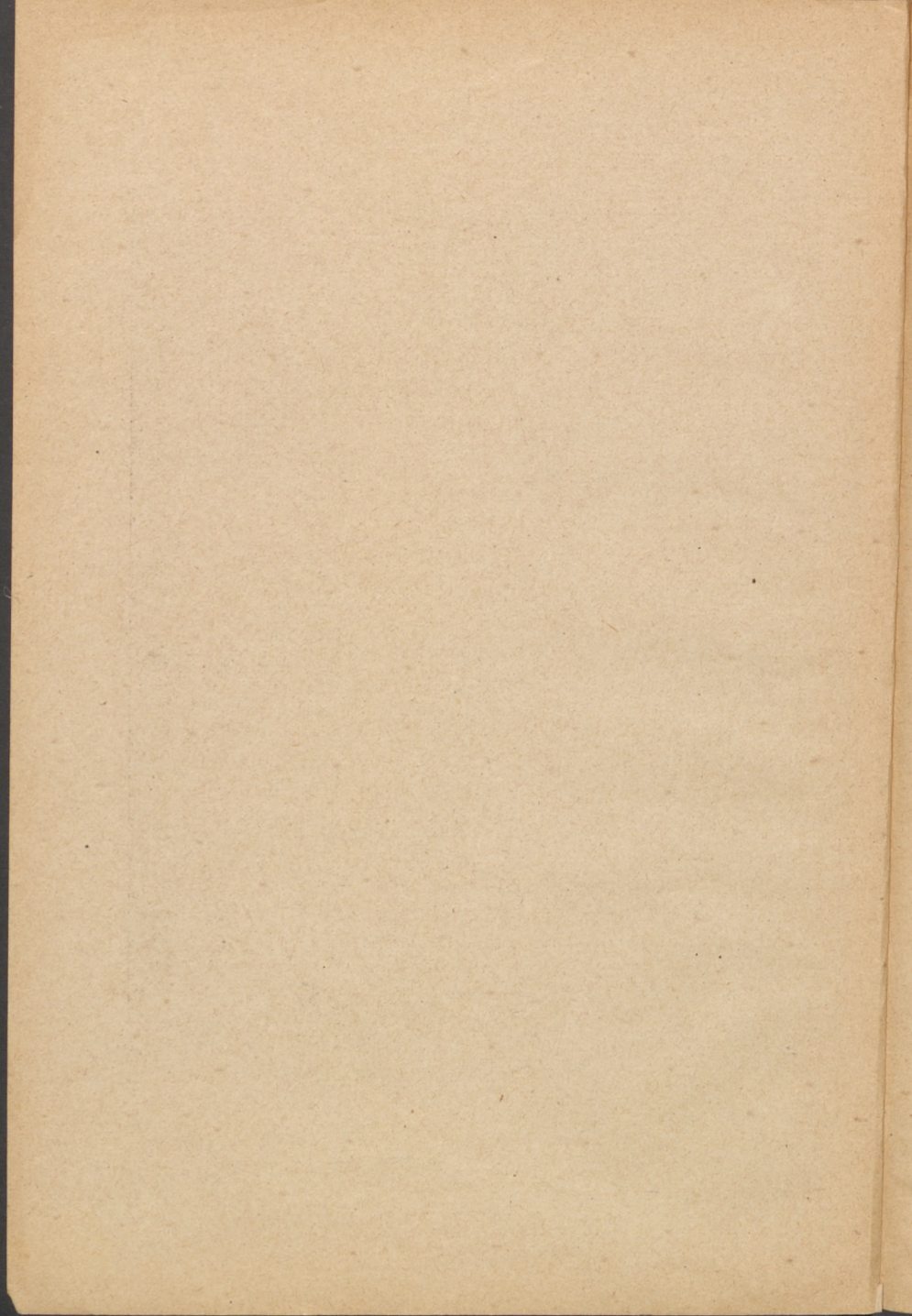
Zdziwił się też ogromnie, gdy Marcinowa nietylko nie sprzeciwiła się projektowi, ale nawet bardzo się ucieszyła i zaraz jegomości torbę na drogę szykować poczęła.

— Musi ona sama z Polski pochodzić, — tłumaczył to sobie później staruszek.

Zaczął święty Mikołaj gotować się do drogi. Przejrzał graciarnię, czyby mu się co z dawnej żołnierki w nowej







nie przydało. Gdzie zaś! Z szyszaka dawno już Marcinowa poidło dla kur zrobiła, usarskie skrzydła on sam powyskubywał, jak mu potrzeba było pióra do jakiej zabawki. Jeden ryngraf jeno z Matką Boską zabrał i na piersiach sobie zawiesił. Choć tam i święty, ale... strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Kłopot też był z przyodziewkiem, bo święty Mikołaj jeno zimowy posiadał, że to tylko na Gody w zimie po świecie chodził. A jakże tu w kozuchu na taki skwar iść? I w czapie jeszcze może?

Od czegoż jednak Marcinowa? Pochodziła po sąsiadach, po swoich znajomkach, gospodyniach i wnetki przyniosła, co było trzeba. Kaszkiet wprawdzie okazał się za duży i spadał trochę na oczy, ale Marcinowa coś tam gdzieś podłożyła i dobrze było, a zato kolisty promyk, co się stale — jak to u świętych zawsze — nad głową staruszka unosił, zmieścił się w onym kaszkiecie doskonale.

Wreszcie wszystko gotowe. Ruszył na ziemię. Droga znajoma, nogi wypoczęte. Upału już nie było, bo już się na odwieczarz miało, kiedy wychodził. Na rano zeszedł na ziemię. Polska. Kraj znajomy jakiś, ale dziwnie odmieniony, bo go święty staruszek zawsze pod śniegiem widział, a tu, jak okiem sięgnąć, zielono wszędzie. Zboża się kołyszą. Wieże jakieś zdala widać. Płock, nie Płock? Jużci że Płock.

Poczuł staruszek odrazu, że się coś niedobrze święci. Z wysokiej góry, na której stał, widać było za Wisłą szeroką łąkę kraju. Wszystkimi drogami jadą na zachód furmanki, wozy z dobytkiem, pędzą bydło zdrożone okrutnie. Byle prędzej na zachód, byle prędzej.

Staruszek ruszył do Płocka. Ogarnął go miły spokój. Każdy swoje robi, nikt się nie śpieszy, nie ucieka. Przed

biurami werbunkowemi do Armji Ochotniczej ogonki. Stańat i on w ogonku. Czeka.

— A wy, dziadziu, syna zapisujecie? — spytano go, ustępując mu miejsca w kolejce.

Staruszek się zachnął.

— Nie mam żadnego syna. Sam staję do wojska.

Szmer podziwu poszedł po zgromadzonym tłumie. Taki stary, a sam stajel...

— Żeby was tylko, dziadku, przyjęli...

Jakoś tam poszło gładko. Trochę porucznik wydziwiał nad brodą i miał ochotę kazać świętemu Mikołajowi ostrzyć ją i ogolić, ale jakoś później zapomniał, no i przyszło.

Dostał staruszek mundur i rogatywkę i pas rycerski i karabin z bagnetem. Wystroił się, wása do góry podkręcił. Przejrzał się w lusterku.

— Nie poznałaby mnie Marcinowa — mruknął pod nosem.

Woddali głuche jakies strzały dały się słyszeć. Stary chwycił za broń...

\* \* \*

Gdzie był? Gdzie nie był? Gdzie się bił? Gdzie się nie bił? Sam staruszek to jeno wie. Trochę, ale tylko trochę, wie także stary jeden generał, który mu krzyżyk do piersi przypinał. Krzyżyk mały na niebieskiej z czarnem wstążeczce. Na leśnej polanie, po bitwie, przed frontem całego bataljonu.

Staruszek nie wyrzekł wtedy nic, jeno w niebieskich, pod białemi krzakami brwi schowanych oczach zakręciła się łza. Zakręciła się, błysnęła w słońcu, spadła w szary pył drogi i wsiąkła głęboko, głęboko w polską ziemię.

I dziś, kiedy święty Mikołaj na Gody polską ziemię obchodzi, ma zawsze na piersiach przypięty ów krzyżyk. Jak mu się nieco kożuszek rozchyli, to widać. Przyjrzyjcie się tylko uważnie! Na niebieskiej z czarnem wstążeczce. A i kolisty promyk nad głową trochę od rogatywki kantów nabrał. Przypatrzcie się tylko uważnie, to zobaczycie sami.

---

## 9. SOBOTNI PROMYK.

Okropnie nudzi się promykowe bractwo, kiedy gęste chmury zawałają świat swojemi czarnemi grzywami. Czemu dla człowieka wielki bagnisty moczar, tem dla promyka chmura. I zabłądzić tam łatwo, i utopić się można.

Komuby się zresztą chciało zadawać z temi straszydłami, co niewiadomo naco i poco po niebie się włóczą? Łażą wtedy promyki senne z kąta w kąt, ziewanie ze wszystkich stron aż się rozlega po niebie. No, bo i co tu robić przez cały długi dzień? Ani roboty żadnej, ani zabawy. Który tam jeszcze śmielszy i silniejszy, to mu dobrze; idzie sobie het, daleko do gwiazdek, obudzi którą (bo one w dzień odypiają swoje nocne zabawy) i ma się przynajmniej z kim bawić! Ale to droga bardzo daleka i nie każdy może się na nią odważyć. No, a tak, to co robić? powiedzcie sami.

Kiedyś akurat święto Matki Boskiej na niedzielę przypadło. W lecie to jakoś było, czy Zielna, czy Siewna, nie pamiętam już dobrze. Całą sobotę od rana łało bez przerwy tak, że od ziemi szum tylko ciągły było słyhać. Promyki, jak zwykle w deszcz, gromadami chodzą po niebie; nosy na kwintę, a w każdym prawie nosie siedzi potężna mucha. Dobrze jeszcze, jeśli jedna tylko.

Dwa promyki usiadły sobie w kącie na starym, złamanym łuku tęczy. Jeden starszy trochę, drugi młodszy. Promyk i promyczek. Ujęli się za ręce. Rozmawiają.

— Taką mam biedę, powiadam ci — mówi promyk. — Czy ty znasz figurę Matki Boskiej, co nad Wisłą na wysokim urwistym brzegu stoi?

— Tę na rozstajnych drogach niedaleko Sandomierza? Pewno, że znam. Dębowy gaik tam bliźutko rośnie i struga płynie.

— O, to to. Ta sama. Otóż byłem tam wczoraj zrana zaraz o świtanie, ledwieśmy wstali. Matula Boża wdół do Wisły zesła i pieluszki prała dla Dzieciątka. Prosiła mnie, żebym na drugi dzień, to jest dzisiaj, przyszedł tam dosuszyć te pieluszki i wybielić. Miała je na piasku rozłożyć nad wodą. A tu dziś, masz! Zejdźże na ziemię w taki deszcz! A obiecałem, że przyjdę na pewno. Co ja zrobię? co ja zrobię?

— No, przecież nie dlatego nie przyjdiesz, żeś nie chciał, tylko dlatego, żeś nie mógł — odparł promyczek. — Za to Najświętsza Panienska na pewno krzywa na ciebie nie będzie.

— Ja wiem, ale zawsze to niemiło. I Dzieciątko czystej pieluszki na zmianę mieć nie będzie. Przekłete te chmurska! Żebyż choć wiatru trochę, a tu cisza taka, aż w uszach dzwoni.

— A możebyśmy jednak spróbowali się przemknąć? — woła promyczek. — A nuż się uda? Może znajdziemy jaką szparkę w chmurze?

— Dobrze, spróbujmy! Chodźmy zaraz!

Jednym susem znaleźli się tuż przy chmurze. Nie myśląc, żeby to łatwa rzecz była chodzić po chmurze. Spróbujcie sami. Grząsko. Nogi się promykom zapadają po kolana. Obrzydliwa brudna chmura czepia się nóg, lepi się do rąk, przylega do ubrania, pełne jej są i usta, i oczy, i uszy. Promyki krztuszą się, dławią i sapią, ale brną dalej z mozołem.

Łaziły tak już z godzinę może, albo i więcej, kiedy nagle promyczek złapał promyka za rękę.

— Patrzno, patrz prędko, co się dzieje!

Jakoż widzą, jak wielka, stara, połatana brudnemi szmatami chmura zaczyna pękać, pękać; szwy trzeszczą, łaty się rozłażą i nagle przez szeroką szczelinę błysnął ku nim ogromny płat pól zielonych, jezioro jakieś i góra, ciemnym lasem pokryta.

Więcej naszym malcom nie było potrzeba. Szust, szust i już byli na ziemi.

Nie był to wprawdzie Sandomierz, ale promyk niejedną już podróż po niębie i ziemi odbywał, więc zaraz zmiarkował, co, jak i którędy, a że promyki świetnie konno na podszwach jeżdżą, więc ani się obejrżeli, kiedy mignął im się Obrazów, a za nim tonąca w zieleni starych lip Żurawica, wioski, pod samym już Sandomierzem leżące. Wszędzie wybiegały na ich spotkanie z chat dzieci, klaszcząc radośnie w ręce. Wychodzili i starsi, a każdy z dobrem słowem i miłym uśmiechem.

Wszędzie mieli moc przyjaciół i znajomych. Nad Żurawicą skubnął promyk promyczka za rękaw.

— Patrzno! Józek, czy nie Józek? Tam przed gankiem.

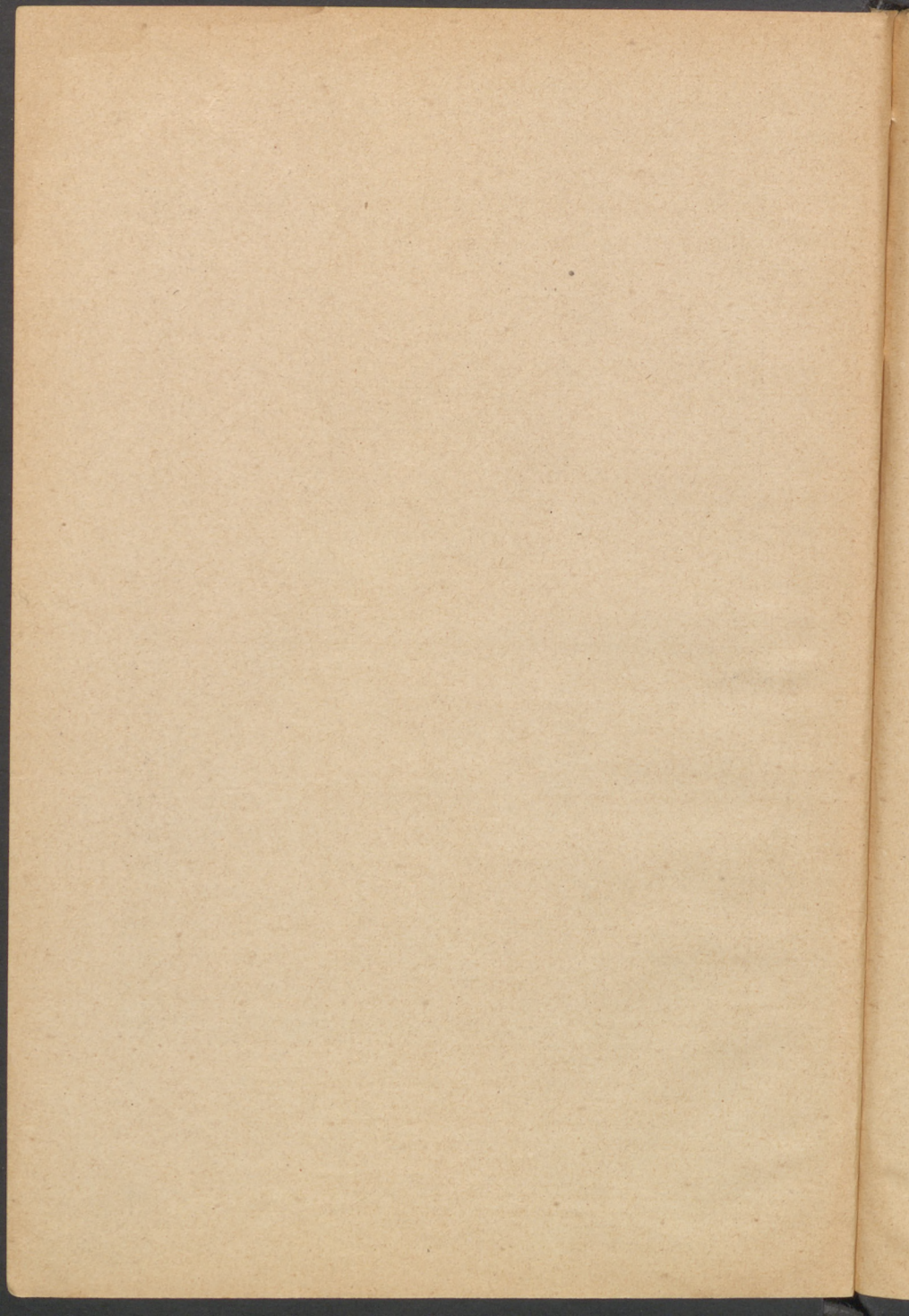
— Pewno, że Józek. A koło niego Kazik z Marysią. O, jak się śmieją! Aż tu słyhać. Jak wysuszymy pieluszki, to wartoby tu wrócić. Przemiała wioska. Kopę lat tu nie byłem. I ludzie tacy dobrzy, i w ogrodzie tak miło pachnie. Patrzaj, jakie tam gruszki! Tam, tam pod parkanem! Palce lizać! Aż ślina do ust idzie.

— No, no, nie myszkuj po ogrodzie, tylko chodź prędzej! — woła promyk. — Wielki już na nas czas.

Frunęli wgórę wesoło. Po chwili byli już nad Sandomierzem, gdzie na ich spotkanie wyleciał z zakamarków starej Opatowskiej wieży cały rój przeslicznych jaskółek. Zapraszały one gości do siebie, do starych murów, ale promyki oświadczyły, że zrobią to chętnie innym razem. Dziś mają bardzo pilną, terminową robotę.







— Dowidzenia paniom, dowidzenia!

I już ich nie było w Sandomierzu.

Płyną, płyną wysoko, światami, nad szeroko rozlaną Wisłą, nad cudną, bogatą sandomierską krainą.

Zdaleka widać już dębowy gaj i białą figurę na wysokim urwistym brzegu.

Zmówiwszy zdrowaškę pod figurą, ruszyły promyki na brzeg, na piasek wiślany suszyć i bielić Jezuskowe pieluszki. Malutkie były, ubożuchne, troskliwą matczyną ręką cerowane i łatanе. Nie było też tam z niemi tak wiele roboty. Raz, dwa i już gotowe.

— No, a teraz co będziemy robili? — pyta jeden drugiego.

— Prawdę powiedziawszy — rzecze promyk, drapiąc się za uchem, — to trzebaby się wziąć do suszenia potrawu na łąkach.

Jeszcze nie zdążył tego promyk dopowiedzieć, kiedy nagle zrobiło się czarno na świecie. Dziura w chmurze, którą się promyki przemknęły wdół, zamknęła się nagle nad niemi i cały świat pokryła gruba, ołowiana skorupa.

Przerażone promyki przytuliły się jeden do drugiego.

— Mocny Boże! Co to będzie? Jakże my teraz do domu wrócimy? A to już tylko patrzeć, jak wieczór zapadnie. Ojej! Ojej! — pochlipywał promyczek, wtuliwszy jasną główkę w promykowe ramiona.

— Nie bój się, mały! Jakoś sobie poradzimy. Śmiało! Trzeba iść poszukać jakiej szparki w chmurze.

Biedny promyk sam niebardzo w to wierzył, co mówił, miną już nadrabiał. Inaczej to było szukać szpary w chmurze tam wysoko, jak się miało słonko za sobą, a tysiące promyków koło siebie, a inaczej tutaj, gdzie biedny promyk nie miał nikogo ze swoich.

Wtem promyczkowi zabłysły żywiej oczka i rzecze:

— Chodźmy do naszej Panienki. Ona nam pomoże. Skoczyły z miejsca oba promyki. Ruszyły po stromem zboczu.

Uklęły u stóp figury. Dwie drobniutkie, nikłe postacie, jakby dwa jasne złote pyłki, zawieruszone gdzieś z tamtego świata.

— Pod Twoją Obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... — zaczyna zdławionym trochę głosem promyk. A promyczek, który tej modlitwy jeszcze nie umiał, złożył ręce i cichutko, cichutko odmawia swój zwykły ranny i wieczorny pacierz:

— Zdrowaś, Marjał łaskiś pełna. Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami...

A Matka Boża ocknęła się z zadumy, podniosła powieki i spojrzała najpierw na modlące się u jej stóp promyki, a później w górę na zachmurzone czarne niebo.

I w tem miejscu, gdzie padło jej złote spojrzenie, rozwarły się chmury i drobna szczelinka otworzyła się w czarnej powłoce.

Podziękowawszy gorąco swej Orędowniczce kochanej, ruszyły promyki ku górze przez otwartą w chmurach szczelinę ku niebieskiemu swemu domowi, ku słońku i gwiazdom.

I od tego czasu podobno zawsze w sobotę przychodzą promyki suszyć pieluszki Jezusowe, a kiedy im złe chmury drogę powrotną zastąpią, to im Najświętsza Panienska spojrzeniem szlak niebieski toruje.

Bo kiedykolwiek Ona powieki swoje podniesie i na kogokolwiek swe przejasne spojrzenie skieruje, tam kończy się noc, i mgła, i niedola, i krzywda, czy to będzie najczarniejsza chmura, najciemniejszy bór, najlichsza chata, czy najbardziej znękana dusza człowieka.

## 10. PIELGRZYMKĄ.

Na kopcu granicznym, pod rozłożystą gruszą przysiadły pewnego wieczora trzy zmęczone daleką podróżą postacie. Mrok gęstniał coraz bardziej, tak że ani szat powłóczyстых już nie widać dobrze, ani pyłem pokrytych, ubogich, z drzewa lipowego chodaków. Zato coraz wyraźniej błyszcząły nad głowami trzy świetlane krążki. Postacie siedziały przytulone blisko do siebie, bo od łąk dalekich ciągnęło wilgotnym jesiennym chłodem.

Szły na odpust do Częstochowy, do Najświętszej Panny, co z Jasnej Góry całej Polsce króluje. Siostry jej młodsze: Siewna, Gromniczna i Zielna.

Siewna, co w ziemię ziarno rzuca i kiełkować mu każe; Gromniczna, co te kiełki na zimę ciepłym białym płaszczem przykrywa i tuli; Zielna, co je z ziemi dobywa i na chwałę Panu Zastępów w kwiaty pachnące, w pozłociste kłosa i owoce zamienia.

Do starszej siostry idą z pokłonem i pozdrowieniem od polskich lasów, łąk i pól.

Siedzą siostry, przytulone do siebie, bo ziąb co i raz kąsać próbował, i cicho, półszepem gwarzą. O czym? Juścić pewno o sierotach i ich czarnej sierocej doli, o łzach i uśmiechach wszelkiego Boskiego stworzenia, o duszach zimnych i gorących, o sercach kamiennych i miękkich. Jak matki.

— A co niesiecie siostry dla Miłościwej Królowej naszej? — spytała w pewnej chwili Siewna Panienska.

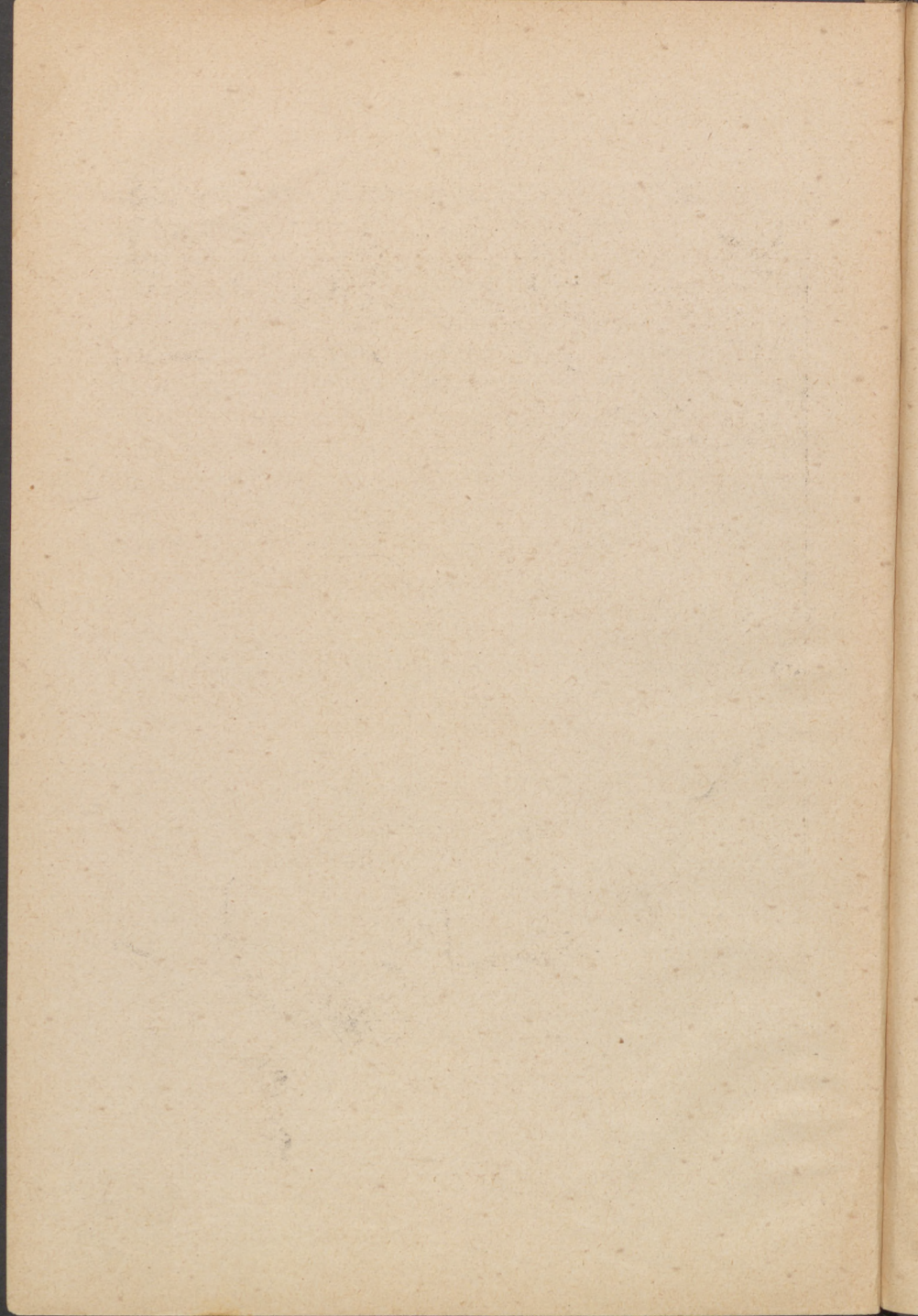
— Ja — rzecze Zielna — niosę korale. Korale z jarzębiny, co mi nią stary Walenty kapliczkę ustroił. Kulawy jest, chorobami połamany, do śmierci niewiela mu brakuje, a zwlokła się dziadowina z łóżka przed mojem świętem i do lasu poszedł po jarzębinę. A trzeba wiedzieć, jaki to od nas ze wsi do lasu szmat drogi ogromny. Ledwie żywy dziadek wrócił. Ale ustroił. Może — powiada — ostatni raz stroję? Będę — powiada — dla Matki Bożej fatygi żałował? Usnął sobie potem jak dziecko pod kapliczką; pokazałam mu się we śnie, podziękowałam, uspokoiłam, ugłaskałam. Stary bardzo. A stary wiadomo też miękkiej, cieplej ręki potrzebuje. Nietylko dziecko. Tak mu ładnie było z tą jego długą białą brodą, co, jak strumyk po mu rawie, spływała.

— A ja — szepnęła po krótkiej chwili milczenia Gromniczna — sznur pereł niosę. Łzy to są matczyne, przed moją kapliczką wylane. W śnieg padły, mróz je w perły zamienił. Dziecko tej matce ciężko bardzo przez całą jesień chorowało. Na Gody uprosiłam Synaczka, by to dziecko ocalił. Przyszła do mnie wymizerowana, blada, jak ten śnieg, co pola zalegał, ale szczęśliwa. Nic już nawet przemówić nie mogła, tylko te łzy kapały w śnieg, wielkie, czyste, a tak gorące, że zdało się, że się ich mróz nie imie. Matczyne wdzięczne łzy. Będzie ich sznurek cały na wotum dla naszej Częstochowskiej Pani.

Cisza była w powietrzu tak głęboka, że mgłęby usłyszał, jak się rozwiesza po łąkach, albo ziemię, jak oddycha równym, choć — że to było pod jesień — spracowanym oddechem. Gdzieś zdala z za lasu zaczynała się sypać szara kurzawa pierwszych księżycowych blasków.

Siostry spojrzwały na Siewną.







— A ty co niesiesz, sestro?

— Ja co niosę? Garsteczkę brylantów. Od mego Wojtusia drogiego, sieroty, co mi dla Synaczka kromkę chleba przyniósł. Czarnego, twardego sierocego chleba, co ją sobie może od ust odjął. Jeszcze w maju, jak się dzieci do mnie co wieczór na nabożeństwo schodziły. Kromkę zaniósłam skowroniętom, co bez matki same z wieczora zostały. Coś jej się tam zrobiło, że wrócić nie mogła do gniazda. Piszczały maleństwa okrutnie. Poszłam je nakarmić. A na figurze zostało trochę okruchów chleba. Rosa na to przypadła, księżyc garść promyków rzucił, no i zamieniły się w brylanty, sama nawet nie wiem, jak i kiedy. Pozbie-rałam je i niosę naszej Miłościwej Królowej dar od Wojtka sieroty. Wiecie co? późno już jest, a drogi kawał okrutny przed nami. Chodźmy!

— Chodźmy!

Dźwignęły się Boże Matule i ruszyły w daleki świat zapomnianą, szarą polską drożyną.

---

## 11. JAŁMUŻNA.

Do starej Brygidy, co pod kościołem przy kruchcie siedziała, podszedł mały Antoś i szepnął jej na ucho:

— Chodźcie ino, babulu, bo z Marcinową to już całym źle.

Zafrasowała się babina. Marcinowa to jej sąsiadka z pod kościoła, gdzie obie po prośbie dłuższe już lata razem siadywały. Czy mróz, czy spieka, czy słońce, czy ziąb, zawsze je widać było przed kruchtą, zgarbione na małych stołeczkach. Marcinowa starsza była dużo i słabsza, raz po raz zapadała na zdrowiu. Brygida wtedy za dwie zbierać musiała, bo się zawsze miłosiernym ludzkim groszem po sprawiedliwości dzieliły. Nawet wtedy, kiedy to Brygidzie jakaś pani dwuzłotówkę w rękę wetknęła. Bo to — mówiła — wielka mnie radość spotkała, syn mi się odnalazł, com go już była oplakała, że na wojnie zginął.

Od paru dni Marcinowej zrobiło się gorzej, teraz masz, ta Antosiowa nowina! A tu nawet i odejść trudno, bo tylko patrzeć, jak się na nieszpory ludzie schodzić zaczną. Zły był dzień dzisiaj. Rano ziąb był okrutny, każdy się kulił w dziesięcioro i nikomu nie było pilno odzienie rozpiąć i do kieszeni zgrabiłymi rękoma sięgać. Nie uzbierała też Brygida nic jeszcze prawie; jak nie uzbiera i teraz, to co będą obie jadły jutro? Co miała z zapasu, to poszło

na doktora. Frasuje się babina. Iść? nie iść? Iść trudno i zostać też trudno. I tak źle, i tak niedobrze. Ej, chyba pójdę. Jakże tam tę biedę tak samą zostawić?

Ciężko, za poręcz się łapiąc i za Antosiowe ramię, wstała i poczłapała ku organistówce, gdzie mieszkały obie w ciemnej, niskiej izdebce. Przed kościołem zrobiło się jeszcze bardziej cicho i pusto, tylko sroka jakaś skacze po kamiennych schodach, merdając wesoło ogonkiem.

Nagle spłoszyła się, zaskrzeczała i podniósłszy ogon do góry, frunęła na drzewo. Z kępy krzaków, gdzie stała figura Matki Boskiej, zbliżyła się jakaś postać. W mglistym przedwieczornym, jesiennym zmierzchu widać było jeno ciemny niebieski, zniszczony na słotach płaszcz, twarz tonęła cała w zawoju. Podeszła do Brygidowego stołeczka, a zasunawszy go głębiej pod mur kościelny, przycupnęła cichutko w kącie.

Cisza. Sroka znowu sfrunęła przed kruchtę. Już ich jest dwie, kręcą się i baraszkują.

Wtem zwada. O co poszło, niewiadomo. Ot, zwyczajnie jak sroki. Bo to wiedzą, o co się tłuką? Przyskoczyły do siebie, dziobią się zajadle i pazurami drą. Pióra już fruują dokoła. A pisk, a wrzask, a skrzek, jakby ich tam dziesięć było, nie dwie.

Szczepiły się dziobami. Jak jeden ptak o czterech skrzydłach. Tłuką temi skrzydłami, aż leżące na ziemi liście w górę lecą. Wodzą się tędy, owędy, to wtył, to naprzód. To podfruną trochę, to znów nadół na schodki, pod samą Kruchtę.

Nagle w chwili, gdy zapędziły się aż na schodki pod sam Brygidowy stołeczek, z pod niebieskiego płaszcza wysunęła się szczupła, delikatna ręka i nakryła szamoczące się ptaki. Z pod zawoju rozległ się cichy, słodki głos:

— Nie trzeba, dzieci, nie trzeba! To boli. A bólu i tak już tyle na świecie. Nie trzeba go już więcej, nie trzeba.

Walka urwała się odrazu. Ptaki spłoszone, zmieszane, zawstydzone jakby, wymknęły się z pod ręki i frunęły na drzewo. Obejrzały się. Matka Boża — ona to bowiem była — rękę ku nim jeszcze wyciąga, modli się i błogosławi ptaszynom.

Słysząc kroki. Ptaki zerwały się i odfrunęły daleko. Matka Boska otuliła się silniej płaszczem, twarz w zawoju znowu ukryła.

Idą znów. Do kościoła na nieszpory.

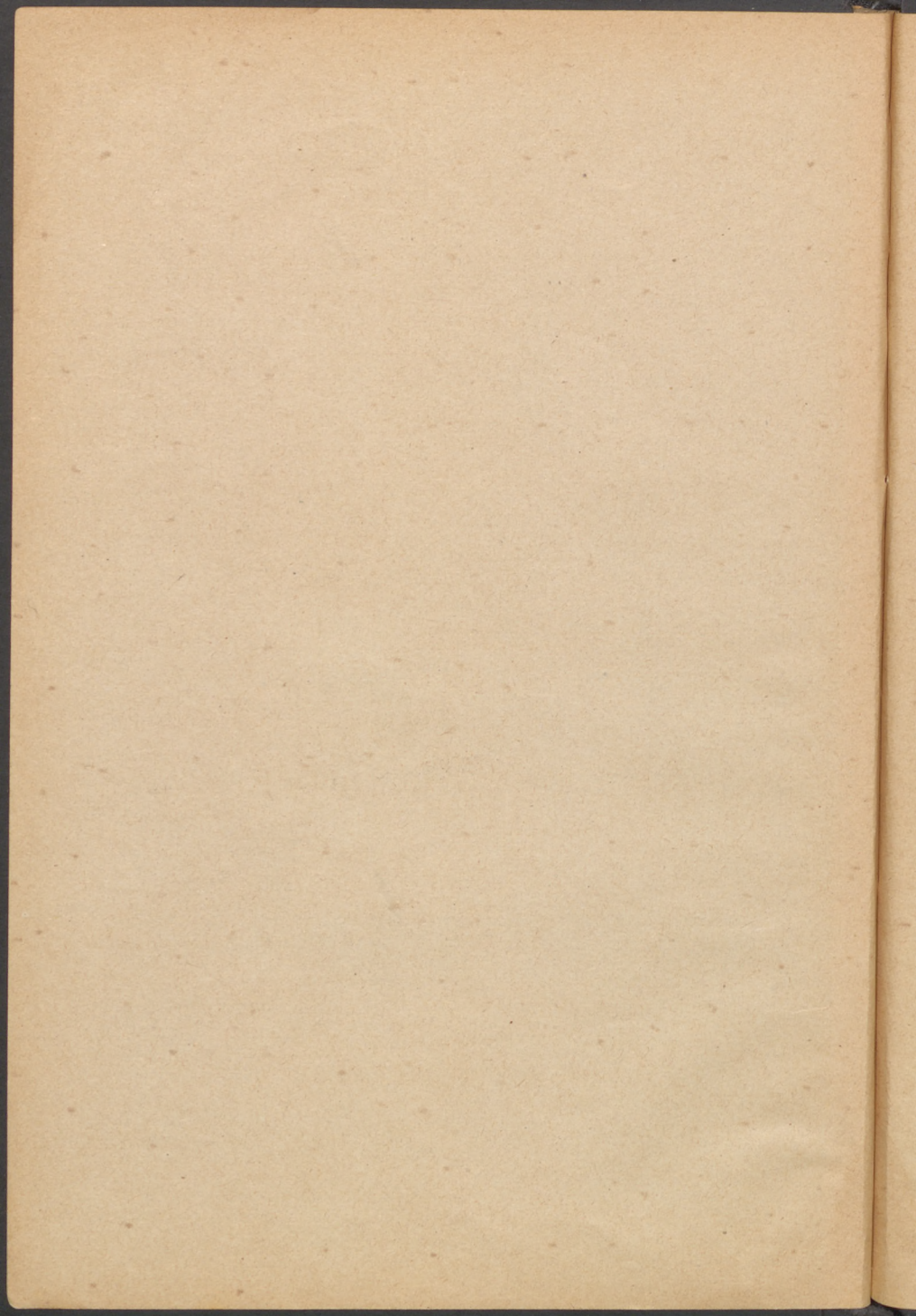
Idzie dziadek siwy, kosturem stuka, stopami drogę maca, bo niedowidzi, postępuje zcicha, bo nogi słabe, zmęczone. Wszedł do kościoła. Cisza znów zapadła głęboka, jeno sygnaturka śpiewa gdzieś hen, wysoko, wysoko na dachu kościelnym.

Znowu słysząc kroki. Idzie babina, a za nią dwoje młodych. Dostatnio ubrani, znać gospodarze wiejscy. Mina gęsta, krok pewny. Idą, mijają babinę, trochę ją potrącili, trochę im się ona ustąpiła. Wchodzą do kruchty, gospodyni zobaczyła skuloną na stołeczku postać, ciągnie męża za łokieć:

— Walek, a dajże co tej biednej!

Walenty sięgnął po woreczek, wyjął dwadzieścia groszy, trzymał pieniądz przez chwilę w palcach, żeby ludzie dobrze widzieli, ile to on daje, obejrzał się jeszcze, czy wszyscy widzą, i z okrutnie pańską miną rzucił pieniądz biednej. Rzucił źle, nie trafił, moneta, zamiast na rękę, upadła obok na podłogę. I dziwna rzecz. Szuka Matka Boża ręką pieniądza, chce go podnieść, a tu w tem miejscu, gdzie upadł, nie dwadzieścia groszy leży, tylko grosik jakiś lichy, wytarty. A tamtego ani śladu, pod ziemię się zapadł, czy jak.





Idą ludzie coraz gęściej. Do wysuwającej się nieśmiało z pod błękitnego płaszcza ręki padają monety jedna za drugą. Ta duża od starszego pana, który tam w kruchcie klęczy i modli się, ta mniejsza od kulawego ucznia, pięciogroszówkę dała dziewczynka od swojej mamusi, a te dwa nowiutkie zółciutkie grosiki Jurek ze Stachem.

Jeden daje pocichutku, żeby nikt nie widział, drugi długo szuka i wybiera w woreczku. Może mu się żal rozstać z pieniądzem, a może oblicza, żeby mu i dla innych dziadków starczyło, a może sam nie ma i napróżno w woreczku szuka. Kto go tam wie.

Uzbierała Boża Matuła już sporą przygarstkę pieniędzy, kiedy wszedł na schody kościelne mały Józiek gęsiarek, co na pastwisku w Woli Kościelnej gęsmi z całej wsi komenderował. Sierota był zupełny, ni ojca, ni matki, jeno ciotkę tam jakąś miał, co od niej łońskiego roku spencerek dostał i koszulę. Biedne to było, chuderlawe, karmione złem słowem, uczone rzemieniem i pięścią.

Wczoraj na pastwisku zdarzyła mu się gratka nielada. Od dziedzica za trzymanie konia dostał dwadzieścia groszy. Mocny Boże! całe dwadzieścia groszy! Tyle to i Wicek Furmaniak nie zawsze ma, choć jego ojciec na całą wieś z bogactw — prawda, że i ze skąpstwa — słynie.

Co to on sobie teraz za te dwadzieścia groszy kupił! Ile to tam cudowności na straganiu! Kogutki gliniane przesliczne, z gwizdkiem tak głośnym, że go w drugiej wsi słyhać...

— Dopierozby mi się gęsi bały, jakbym taki gwizdek miał!

— Albo kozik, pięknie na czerwono malowany. Tenby się przydał!

Tu zasępił się Józiek, bo sobie przypomniał, że koziki były po dwadzieścia pięć groszy, nie po dwadzieścia.

— A możeby i oddali za dwadzieścia? — pocieszył się nieco. — A jak nie, to sobie spinkę do koszuli kupię, takie tam śliczne były złote. Koszula mu się całkiem pod szyją rozłazi; jakże go tak do kościoła puszczą?

Właśnie na schody kościelne wstępował, kiedy o tem myślał. Nikt mu tam wejścia nie bronił, nikt bardzo wogóle na niego uwagi nie zwracał. Wstyd mu było i rozwartej koszuli i bosych czarnych stóp, ale cóż miał robić niebożę? Skądże weźmie, choćby nie wiem jak chciał?

Podszedł do kruchty i stanął przy samych drzwiach. Dalej wejść nie śmie. O krok od niego na małym stołeczku niska, skulona postać. Ręka chuda, wątła, zbiedzona.

Spojrzał Józiek na twarz. Rozchylił się nieco zawój i słaby, daleki odbłask świec padł na biedną, znękaną bólem twarz Matki Bożej, na wielkie, przesmutne oczy.

I nagle (bieda biedę zawsze zrozumie) złapało coś Józka za gardło, targnęło piersią. Głosu z siebie dobyć nie może. Do ręki onej przypadł i całuje, łzy mu ciekną po twarzy gorące.

Rozwiązał Józiek chustczynę, wyjął swą dwudziestogroszówkę, obejrzał się, czy nikt nie widzi, wetknął pokryjomu pieniądz w rękę, zasłonił oczy i uciekł czem prędzej, akby wstydząc się swego czynu.

A pieniądz na dłoni Bożej Matuli robi się jakby coraz większy, rośnie, rośnie, zółknie, nabiera blasku — i oto z dwudziestogroszówki robi się wspaniały złoty dukat.

Ciemno już było zupełnie na dworze, kiedy Brygida wyszła z organistówki. Marcinowej ulżyło znacznie, niechże se poleży teraz, a ona pójdzie jeszcze do kościoła, to może co, choć po nieszporach, od wychodzących uzbiera. Kuśtyka babina pociemku, boi się upaść. No, jeszcze parę kroków i już poręcz. Na schody wprawdzie wejść ciężko,



ale przynajmniej zna tu na pamięć każdą szczelinę w kamieniach, każdą cegłę w murze.

Co to? Tak jakby na jej miejscu ktoś siedział. Coś tam ciemnego widać wyraźnie. Człap, człap, człapie wielkimi buciskami po kamiennych stopniach. Kto tu?

Z Brygidowego stołeczka podniosła się ciemna postać i, przesunawszy się cichutko koło zdumionej żebraczki, znikła w ciemnościach.

A na stołeczku pod murem zastała Brygida garść pieńędzy. A wśród nich mały, lichey, wytarty grosik i prześliczny złoty, wspaniały dukat.

Padła babina na kolana.

„Zdrowaś, Marjo! Łaskiś pełna. Pan z Tobą...”

---

## 12. GIEWONTOWI RYCERZE.

Była w Tatrach grota ogromna pod Giewontem. Końca nie było widać ani wszcz, ani wzdłuż. Cisza tam była głęboka, jeno gdzieś w kącie skały popłakiwały nad swoją kamienną dolą: Kap! kap! kap! padały łyż monotennie na granitową podłogę, rozpryskując się daleko.

Gęsty mrok zalegał jaskinię, że ledwie można było rozeznac ciała śpiących rycerzy, zalegających pokotem całą salę. W środku, na wzniesieniu ze skał, siedział mały krasnoludek. Siedział tam już zgórą sto lat, to też biała broda opłotła tak skały, iż zdawało się, że jakiś strumyk spływa z nich tysiędem białych nici.

Stary, dobry, mądry krasnoludek.

Przez sto lat zgórą nie schodził ze swego skalistego tronu; dwa razy tylko przez ten czas słyszały skały jego głos. Raz późną jesienią doszło do niego zdaleka, zdaleka wołanie:

— Do broni, bracia! do broni!

Zerwie się stary z siedzenia, na odźwiernego krzyknie: — Hej zaryglować tam drzwi i okna! Prędeż! A jakby się kto budził, to mu prędko waty do uszu, a proszku na oczy! Jeszcze nie czas.

Tu i ówdzie dźwigała się ociężała postać rycerza, ale, mruknąwszy coś pod nosem przez sen, układała się znów

zpowrotem. Ucichł i stary Krasnal, sposepniał tylko bardzo. Zaległa grobowa cisza, tylko kap! kap! kap! płakały dalej zcicha skały.

Jakoś od tej pory zeszło z pół kopy lat, albo i więcej. W białym strumyku, spływającym ze skalnego tronu, przybyło parę nowych pasemek. Nagle znów popłoch w śpiącej jaskini...

— Jak to na wojence ładnie... — dzwoniła zdaleka piosenka żołnierska.

Znów zamykano z pośpiechem okna i drzwi od grotty. Przebudziło się jednak kilka postaci.

— Czy już czas?

— Nie, nie czas, śpijcie! — brzmiały w powietrzu niewidzialne głosy.

Ułożyły się do snu zpowrotem zbudzone postacie.

Aż wreszcie po nowym, długim szeregu lat przyszła jesień. Osobliwa jesień. Więcej kul, niż owoców na drzewach, pola poorane nie pługiem, jeno granatami. Zatrząst się świat stary w posadach, ogarnął wszystko pożar wojny światowej.

W jaskini ruch ogromny. Okna i drzwi skalne poroztwierane narozcież. Po całej grocie tupot butów żołnierskich, szcęk broni, człapanie długich pantofli krasnoludków.

Jakiś legun w maciejówce, z orzełkiem na głowie, ale bez bluzy, kiwał na krasnoludka, trzymając w ręku staroświecki hełm.

— Te, mały! zabierzno sobie ten garnek, a przynies mi kurtę! Ale migiem, bo pono za pół godziny zbiórka.

— Kopnijno się, mały, po stempel do karabinal — wołał inny. — Tylko pamiętaj — francuski! Bo ci tę brodę wyskubię, jakem hallerczyk!

— A dla mnie szczotkę do butów. Ale już!

„Mali“ spełniali gorliwie polecenia. Zziąbane to było, zalatane, ale radosne. Co chwila wpadali jeden przez drugiego do starego, który siedział na zwykłym swem miejscu i, przejęty okrutnie, powiewając na wietrze długą brodą, wydawał rozkazy.

— Miłościwy paniel! gdzie schować rysz tunek po chorągwi pancernej, co to dziś legja oficerska? — woła jeden. Dowborczycy!

— A gdzie naboje do karabinów maszynowych? — woła drugi. — Ojej, naboje do karabinów maszynowych? Obiecałem kapitanowi, że się postaram.

— Są w górnym korytarzu. Na prawo. A tam kto tak wali?

— Hallerczycy. Oni tak zawsze z fantazją.

\* \* \*

Pustoszeje jaskinia pod Giewontem. Wyszli Piłsudzycy, i druga brygada, i Puławski legjon. Pociągnęły długim sznurem formacje wschodnie. Rozlały się szeroką ławą po polskich drogach i bezdrożach. Na sztandarach miały tęsknotę za Polską niepodległą i ta tęsknota wiodła ich w dnie mgliste, nieprzeniknione, ciemne, zdawałoby się beznadziejne.

Aż doprowadziła.

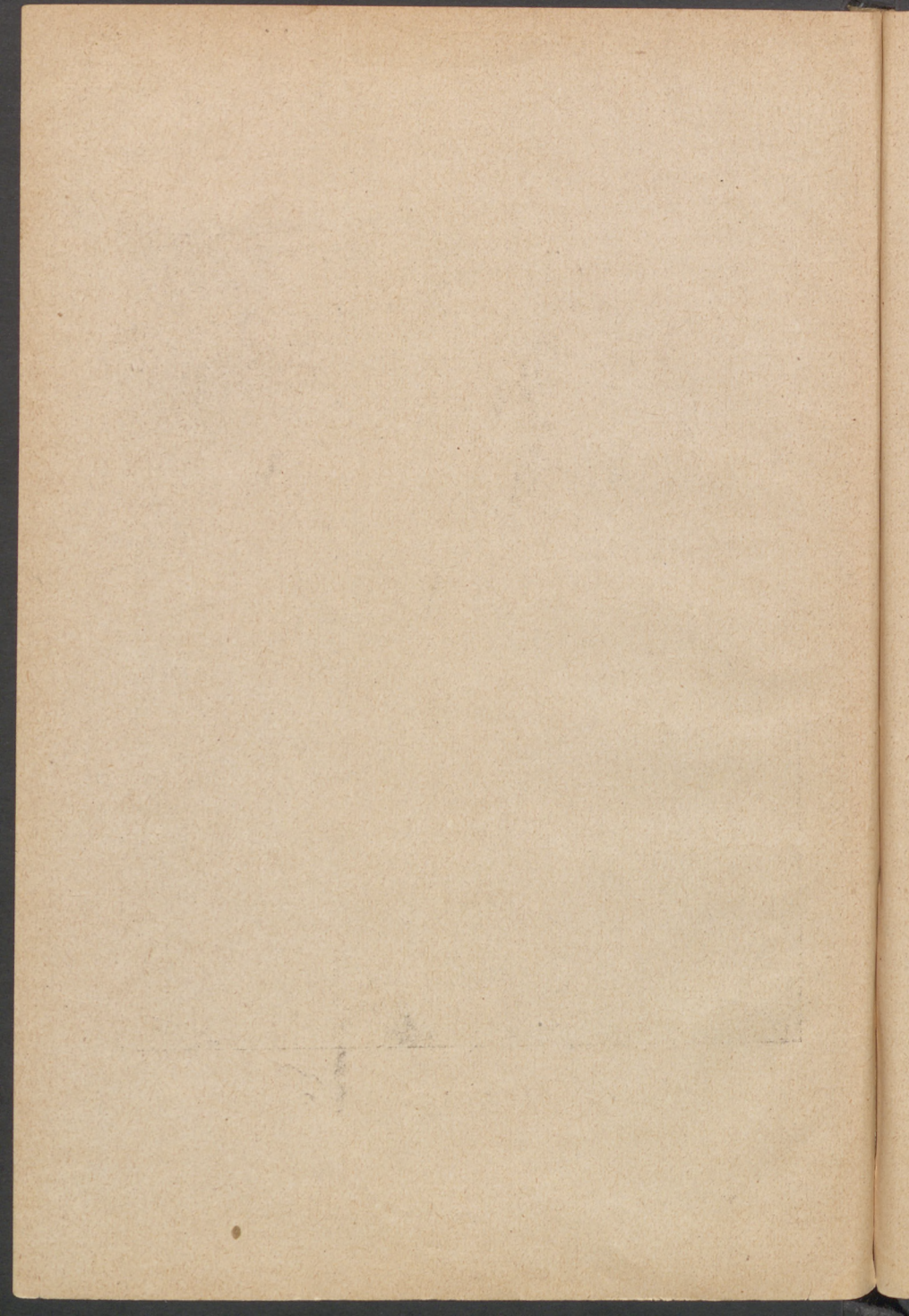
Ale jeszcze mozołu i trudów było ponad ludzką miarę. I ponad ludzką wiarę.

Pewnego dnia znów otwarto wierzeje groty. Idą ostatnie zastępy. Hallerczycy. Stary krasnoludek łąę jasną ukradkiem ociera.

— Idźcież i wy, dzieci!

Przedudniały ostatnie czwórki. Krasnoludek rozejrzał się po grocie. Był sam. Nie było już nad kim czuwać.





Nawet odźwierny wyszedł przed grotę popatrzeć jeszcze zdaleka na błękitnych rycerzy. Był sam.

— Trzeba i mnie za nimi.

To rzekłszy, ruszył ze swego tronu, wlokąc swą długą brodę po kamieniach. Szedł długo, długo, aż doszedł do wsi. Na skraju wsi budynek, na którym wielkimi literami napis: „Szkoła“.

A i mniejszemi było coś napisane, ale co, tego krasnoludek odczytać nie mógł. Oczy miał stare, zmęczone, okulary głęboko w torbie. Zresztą było mu wszystko jedno, jaka to szkoła.

Sobie tylko wiadomym sposobem zrobił się tak mały, jak pyłek; oknem po złotym promyku słońca wsunął się do sali szkolnej, potem po długiej pajęczynce wygramolił się pod sam sufit między wielką szafę a piec.

Lekcja była. Nauczyciel mówił coś dzieciom o Polsce. Mówił o bogactwach, jakie Polska ma w ziemi i na ziemi, o polskim zbożu, co ongi tratwami, a dziś wagonami jedzie ku morzu, o węglu, o nafcie.

— A wiecie, jakie jest największe bogactwo Polski? Poruszyły się płowe główki dziecięce.

— Bursztyń. Srebro. Lasy. — Posypały się odpowiedzi

— Nie. Największym bogactwem jesteście wy, dzieci. Na was Polska czeka. Na waszą pracę, na wasz trud i znój.

— Tak, tak — powtórzył krasnoludek. Na was Polska czeka. Wy giewontowi rycerze.

---

### 13. KOZUSZEK ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA.

Na Gody szło. Mrozy zesłał Pan Bóg tego roku setne, że nawet świętym w niebie zeskrzytwiały nogi i posiniały nosy. Święta Cecylja grać przestała, bo jej palce zgrabiały. Zabijanie rąk po całym niebie słycać było, niczem jaką młockę.

W małej izdebce świętego Mikołaja też para z ust szła, jak się patrzy; ale staruszek tak był zajęty, że światła bożego nie widział i o tem, że mu zimno, nawet pomyśleć nie miał czasu.

— Jakże to. Tyle zabawek dla dzieciarni przyładować, rozłożyć, policzyć i sprawiedliwie rozdzielić. A tu Józkowemu koniowi noga świeżo przyklejona odłazi, a Walercynej lalce jedno oko wypadło i gdzieś aż pod skrzynię leci. Odsuwa stary skrzynię, a nie widzi, że jakimś sterczącym z niej gwoździem o wiszący obok kozuszek zawadził. Trrrrach! i dziura na pół łokcia. Masz, babo, placek! jeszcze tego brakowało! Nie dość, że kozuszyna już i tak ledwie się trzyma, jeszcze ta dziura w boku. Marcinował Hej, Marcinował

Przyszła gospodyni; jęli oboje nad dziurą radzić. Zeszyć, to zeszyć, nie święci garnki lepia; ale jakże tu szyć, kiedy się wszystko w palcach rozłazi? Marcinowa zrzedzi, reperować nie chce, staruszek ręce rozkłada, a tłumaczy, a prosi.



Nie wiedzieli oboje, że choć drzwi zamknięte, a szyby w oknie zamarznęte ze szczeniem, był taki, kto tę ich rozmowę słyszał. Kto? A któżby, jak nie kochana, wszytkowiedząca i wszytkowidząca Gwiazdka.

Za głowę się złapała. To on, starowina, u mnie tyle lat w służbie pracuje, a ja mu nawet kozucha dotąd nie sprawiłam. Hej, wołać mi tu Nicefora i Ambrożego!

I po niedługiej chwili zastukali dwaj aniołowie do Mikołajowej izdebki. Jeden z nożycami, drugi z miarką...

— Czego to, dobrodzieje, chcecie? — pyta staruszek.

— A miarę brać na kozuszek, ojcie dobrodzieju.

— Na jaki kozuszek?

— Adyc Gwiazdka, miłościwy panie, nas tu przysłała i kozuszek nowy szyć każe, bo wam się pono stary podarł.

Stary nie rad był, że mu przerwali. Akurat Frankową piłkę nadymał, bał się puścić, żeby z niej dech nie uciekł, a tu masz... Piłka syczy, darmo dziadek palcem otwór za-tyka. Aż się zgniwał stary.

— Skądże ona już o tem wie? No, i nie wścibskie to te baby? Wszystkie podsłuchają, wszystko wypatrzą. To i co, że się podarł? Służył mi lat paręset, posłuży jeszcze drugie tyle. Skaranie boże z tem wszystkim! Tu człek podrapać się w nos czasu nie ma, ani kichnąć uczciwie, tyle roboty na karku siedzi, a tu znów jakieś zawracanie głowy.

Udobruchał się wkońcu starowina, boć to przecie dla niego ten kozuch, z dobrego gwiazdkowego serca. Jakże się tu gniewać? A kiedy mu go na drugi dzień przyniesli, wystroił się dziadzio i aż do Marcinowej po lusterko poszedł, żeby się przejrzeć. Śliczny był ten kozuszek: krótki, żeby się nogi w chodzie nie plątały, białem futerkiem lamowany. A ciepły, a zgrabny. Jak żył długo święty Mikołaj, jeszcze nigdy takiego kozuszka nie miał.

Nadeszły święta. Już tylko patrzeć, jak zmrok zapadnie i boży wieczór wigilijny cicho na ziemię spłynie. Święty Mikołaj już dawno z nieba na ziemię przywędrował; strudzony wielce od domu do domu chodzi, dzieci pieści, łakocie i rozmaite podarunki podtyka. Czasem to tam wprawdzie huknie gdzie, jak na kłamcę, czy próżniaka trafi, ale jakoś w tym roku mało tego huczenia słychać. Czy dzieci lepsze, czy staruszkowi sił już może brakowało? Nie wiem.

Obszedł święty Mikołaj miasto, idzie na przedmieścia, na ciche w śniegach tonące wioski, pod czarne strzechy, na niskie progi. Żadnej chaty nie opuści.

Wypadło mu raz iść do wioski, co głęboko w jarze schowana leżała, cała zakopana w śniegu. Droga szła z góry przez las, a że po rannej odwilży mróz z południa chwycił, więc ślizgawica była okrutna. Próżno święty Mikołaj kosturem drogę maca i nogi ostrożnie stawia; kostur jedzie w jedną stronę, nogi w drugą i ani sposobu zejść z tej przeklętej góry. A brońże Boże upaść, to i zabawki by staruszek połamał i sobieby mógł krzywdę jaką wyrządzić, boć to przecie nie młodzieniaszek.

Już się starowina namyślał, czy wbok nie skręcić i lasem a polami przez wielkie śniegi do wsi nie dobrnąć, kiedy nagle doleciało go jakieś gwizdanie.

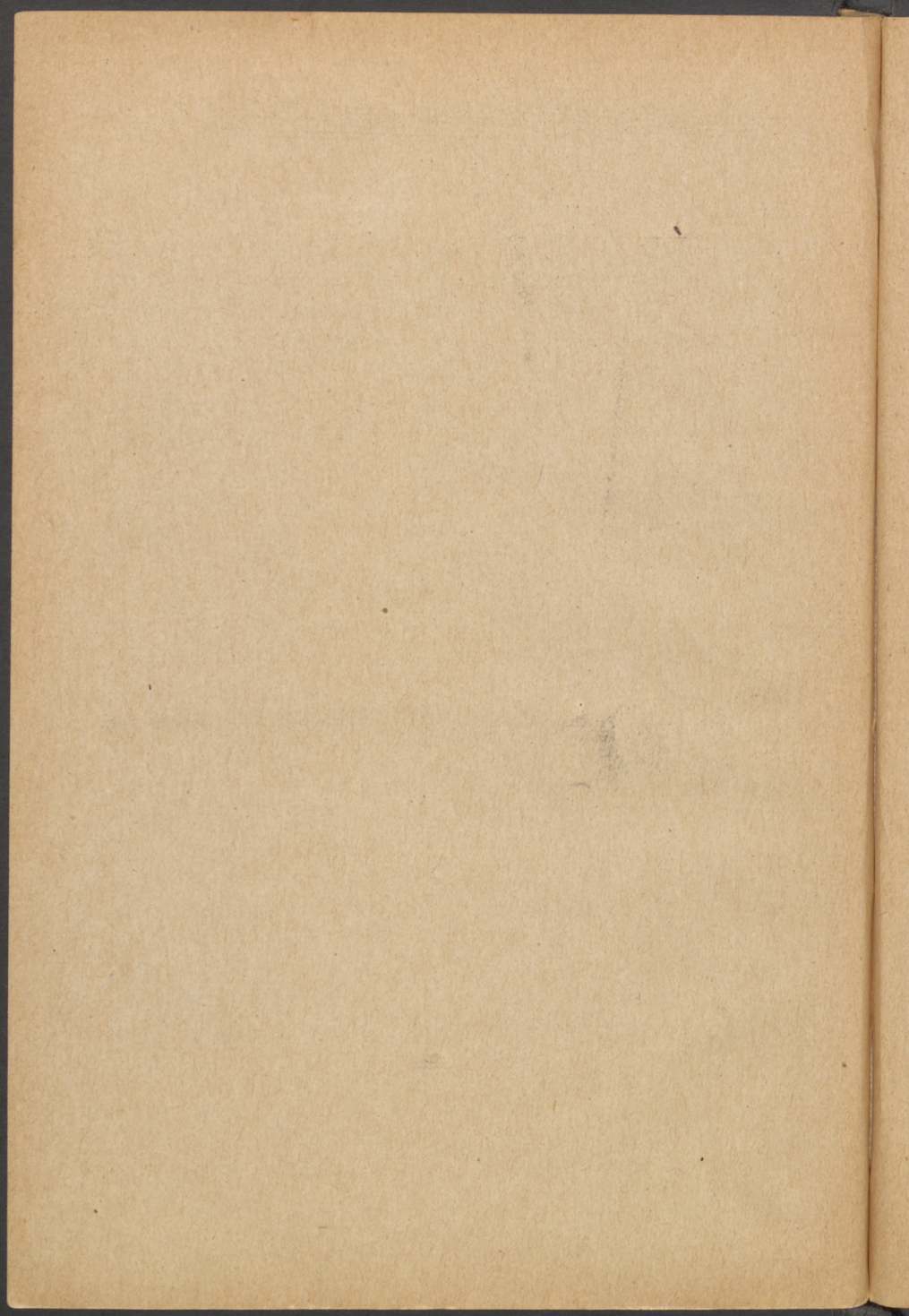
— Co za licho o tej porze? W wigilijny wieczór?

Okazało się, że nie żadne licho, jeno Michałek ze wsi, syn wdowy po kowalu. Wracał skądś, biegł prędko, za czerwone uszy czerwonymi także jak burak rękami się trzymał, kołnierza od kurtczyny do góry podciągał, a gwizdał tak, że aż gdzieś między gwiazdy niosło. Zobaczył dziadka, przerwał gwizdanie i chuchając w palce spytał:

— A wy, dziadku, dokąd?

— Do wsi, do Józefowa, jeno że zdaleka idę, wieczór mnie złapał, a tu ślizgawica taka. Powiedzno mi, chłopcze,





niema tu gdzie jakiej innej drogi? Może nie będzie taka wyślizgana.

— Drogi innej to tu niema nigdzie, ale pójdźwa, dziadku, razem, to wam pomogę. Tu z góry najgorzej, ale jak zejdziemy na równe, to tam dobrze będzie iść zupełnie.

— Hej, chłopcze, jakże ja z tobą pójdę, kiedy ty fruwasz, nie chodzisz? ktoby ci tam nastarczył?

— Chodźcie, dziadku, chodźcie! Toć ja zwolnię.

I nie pytając się długo, ujął starowinę pod ramię i ostrożnie sprowadzać go z góry zaczął.

— A i czemuż ty, chłopcze, w taką porę w domu nie siedzisz? — spytał stary, kiedy przystanęli na chwilę. — Gody przecież. Gwiazdy już na niebie świecą.

— Schorowała nam się sąsiadka ciężko, a że doktor gdzieś pojechał i do wieczora na niego w miasteczku czekałem, więc teraz dopiero lecę. A wy, dziadku, po prośbie, czy do familji? Bo wy przecież nie z naszej wsi.

— Nie, nie po prośbie, mój synu, jeno do ludzi dobrych z dobrem słowem. Daleko jeszcze do wsi?

— Nie, nie daleko. Już światło w Mazurowej chałupie widać. Ale też mróz na świeciel

— Nie zimno ci to w takiej kurtce?

— Juści, że zimno, ale cóż robić? W ręce nic — zabić można, w nogi też nie, bo się od chodu rozgrzeją; uszy, najgorzej uszy. No, ale już niedaleko.

Zeszli wdół. Starowina zatrzymał się i powoli, powoli worek z siebie ściągać zaczął. Michałek pomagał, choć nie wiedział, poco to staruszek robi. Święty Mikołaj, zdjawszy worek, kożuszek rozpinać począł. Michałek aż zakrzyknął:

— Dziadku! Ojej! Dziadku! Dyć to mróz!

A święty Mikołaj nic; kożuch rozpina, z pleców ściąga. Ściągnął i Michałkowi podaje.

— Kładź, chłopczel!

— Co wam, dziadku? A to skąd? Za co?

— Za co? A za to twoje dobre, gorące serce, — za to, żeś w wigilijny wieczór w tyli świat dla sąsiadki po lekarstwo poleciał, żeś mnie staremu, choć ci pilno, zejść pomógł. Tak, dziecko. Serce masz dobre, gorące. Miej zawsze takie! To grunt. Ręce, jak ci zmarzną — sam mówisz — zabić można; nogi ci zziębną — biegiem rozgrzejesz, a i na uszy się u matki jaka ciepła chustczyzna znajdzie; ale z sercem najgorzej. Jak komu wyziębnie, to już mu do końca życia zimno i między ludźmi źle. Pilnuj, dziecko, serca, żeby nie wyziębło.

To mówiąc, uściskał oniemiałego ze zdumienia chłopca, rzucił mu kożuszek na ręce i zniknął w mroku, jak cień.

I tylko jeszcze zdaleka miły jego głos, czy też może echo powtórzyło:

— Serca, chłopcze, pilnuj, żeby nie wyziębło! Serca!...

## 14. PŁOMYCZEK ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA.

— Dobranoc, kochanie. Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Śpij, maleńki, trzeba się dobrze wyspać przed choinką.

Mamusia pocałowała Janka, otuliła go miękką kołderką, zapaliła nocną lampkę olejną i ogarnawszy raz jeszcze ciepłem spojrzeniem śpiącego już jedynaka, wyszła z pokoju, gasząc światło.

W pokoju zapanował mrok. Mały płomyczek olejny nasrożył się i zaczął udawać dorosłego. To się prostował, nadymał i pęczniał, że aż knot trzeszczał w lampce, to znów kiwał się i chwiał na wszystkie strony, żeby go lepiej było widać. Wszystko napróżno. Szkaradna noc sypała nań wciąż czarne jak sadze ciemności, że ledwie mógł dostrzec swoje odbicie w szafie z lustrem, która stała pod ścianą, a już wieszadła w kącie najlepsze oczyby nie wypatrzyły. Wreszcie zmęczył się i przycichł. Wiedział, że całą noc będzie musiał z ciemnościami wojować, a tu dziś Michałowa oleju do lampki nie dolała, i może być awantura.

Mrugnął płomyczek ku oknu, by zobaczyć, co się dzieje na bożym świetle, ale go zaraz ochota odeszła. W pokoju było ciepło, cicho i miło, a tam za oknem słońce z płuchą, dwie płacziwe siostry, tak zawodziły, że te ich lamenty we wszystkich szybach i rynnach się rozlegały.

Mrugnął ku zegarowi, ale stary zrzęda nie w humorze był dziś i gawędzić nie chciał. Jak stary żołnierz na warcie, chodził tam i zpowrotem, tam i zpowrotem, raz dwa, raz dwa, mierząc długiem wahadłem równe, miarowe kroki i postępując od czasu do czasu, bo go od zeszłej wiosny coś w boku strzykało.

— Żle — myśli płomyk. — Nudno. Niema z kim pogawędzić. Mucha, co w szparze koło pieca przezimowała, łązi po suficie i gadać jej się nie chce; pająkowi od urodzenia żadne słowo się nie wymknęło, chyba przez omyłkę. Myszkę lubię, ale cóż, kiedy ona się własnego cienia boi, a cóż dopiero mnie. Dziękuję za takie towarzystwo!

Niewiadomo jak i kiedy zdrzemnął się płomyk z tego wszystkiego. Maleńki, złoty krążek światła zmałał jeszcze bardziej, wtuliwszy się w cichy, ciepły mrok.

Cisza. Mysz tylko skrobie cichutko gdzieś koło pieca, skrobie długo, długo, może minutę, może godzin parę, kto to wie, kto to wie? Wiedziałyby może zegar, ale ktoby się tam śmiał pytać go o to po nocy, a zresztą on na takie głupstwa nie ma czasu.

Kto to wie, kto to wie?

Nagle czuje płomyk, że go coś po nosie łaskocze.

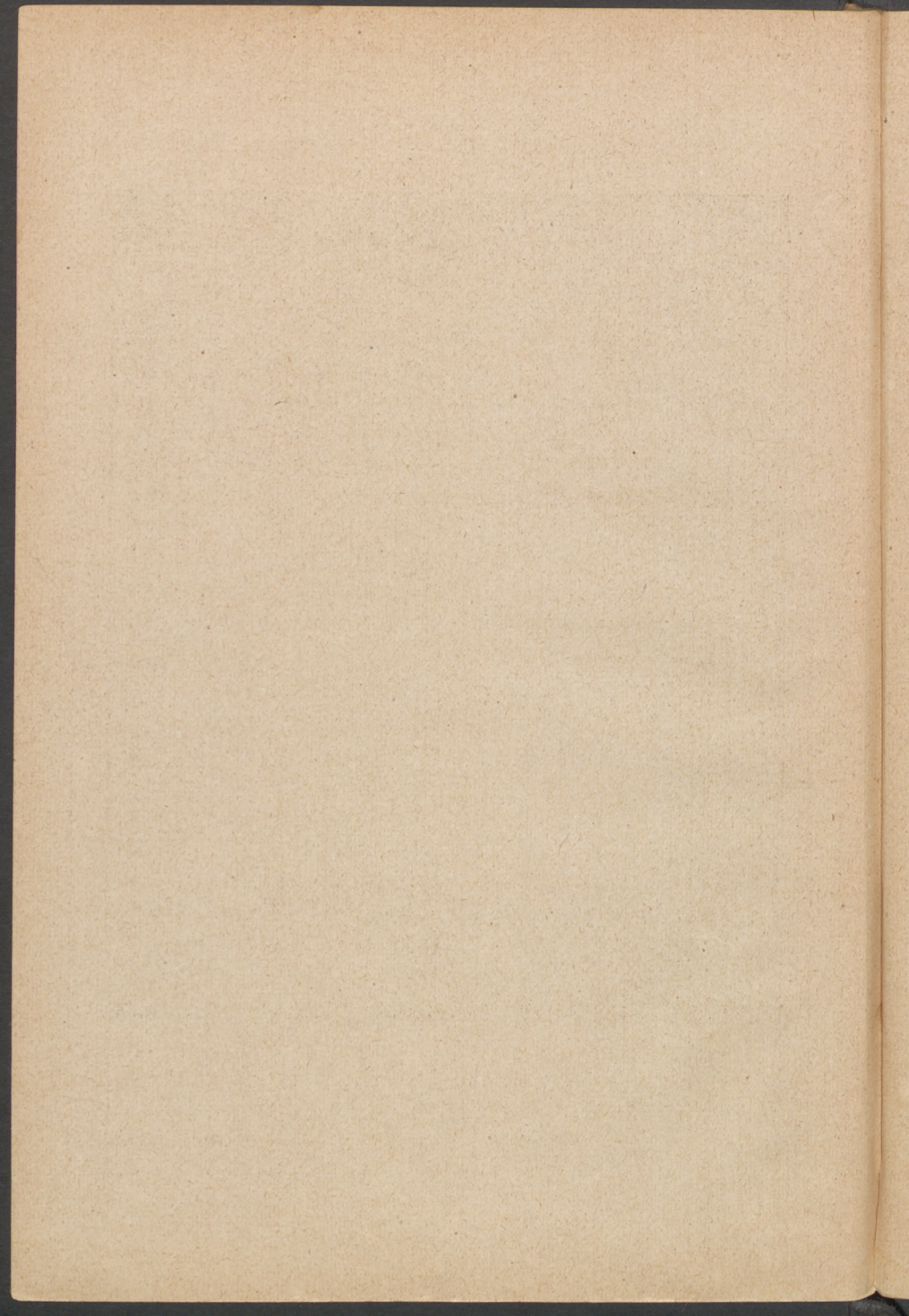
— Co to? Kto to? Księżyc? A tyś się tu skąd wziął? Takie chmury szkaradne jeszcze przed chwilą niebo zasłaniały.

— Ładna mi chwila. Z pół nocy zeszło. Spałeś i nie widziałeś, że się na świecie pogoda zrobiła. Ziąb to ziąb, to prawda, ale chmur na lekarstwo niema. Uchl Zmarzłem okrutnie. Dajno mi się ogrzać!

Otulił płomyczek gościa swem ciepłym ramieniem i dalej w gawędę. Wielcy to byli przyjaciele ten płomyczek olejny i księżycowy promyczek. Musiał srebrny przybysz wszystko płomykowi opowiedzieć, co tej nocy widział, gdzie był, co robił.







Siedzą tak przytuleni, gadają i gawędzą, aż się mucha na suficie obudziła i zaciekawiona patrzy, kto tyle harmidru narobił, aż tu nagle płomyczkowi zrobiło się niedobrze. Zamroczyło mu się w oczach, przybladł i ledwie się trzymał na knocie.

Promycek się zaniepokoił.

— Co ci się stało? Powiedz!

— Nie wiem. Czekaj, teraz mi jakoś trochę lepiej. Zajrzę, zobaczę, czy się co lampce nie przytrafiło

To mówiąc, kiwnął się mocniej i spojrzął pod siebie na szklaną banieczkę, z której wystawał umieszczony w metalowej rurce knot, i — zdrętwiał z przerażenia.

— Olej się kończy! — jęknął głucho.

— Co ty mówisz? Nie może być.

— Naprawdę.

— I cóż teraz będzie?

— Myślisz, że ja wiem? Oj, słabo mi znów, słabo! Ratuj, promyczku najmilszy!

— Jakże ja cię, biedaku poratuję? Choć, wiesz co? Mam myśl! Mam myśl! Zabieraj się stąd i jedźmy do nas!

— Dokąd?

— Do nas, między księżyc i gwiazdki. Nie tak tam może ciepło i zacisznie, jak tutaj, ale też nie tak ciasno i duszno. Cudnie tam jest, powiadam ci! Olbrzymia łąka bez końca, cała usiana gwiazdkami. Są wielkie i małe, wszystkie kręcą się, gonią i bawią. Cudnie jest. Mój tatuś, to jest księżyc, porządku tam pilnuje, ale zobaczysz, jaki on miły! Wcale nie taki groźny, jakby się zdawało.

Płomyczkowi oczka się zaświeciły. Trochę mu się wprawdzie żal zrobiło i Janka, który się akurat na drugi bok przewracał i przez sen coś jakby o choince prawił, i starego zagara, i skrobiącej myszy. Zerknął ku oknu w niebieskie

przestworza, potem na swój knot szerniał, który już resztek oleju z lampki dobywał, i rzecze:

— Choćbym nawet nie chciał, to muszę, bo cóż mnie tu lepszego czeka?

— No, to jazda!

Jak jazda, to jazda!

Jakąś niewidzialną dla oka ludzkiego szczeliną w szybie wydostali się na świat boży.

Płomyczek ledwie nos wytknął, przeraził się bardzo.

— Uchl! Jaki tu mróz! Jakże ja dojadę? Taki szmat drogi. Zmarznę.

— Nie zmarzniesz — rzecze promyczek. — Z takim gorącym serduszkiem, jak twoje, pojechałbym na kraj świata i nie uląkłbym się najtęższych mrozów. Śmiało w drogę!

Jakoż ruszyli, choć mróz ścisnął z taką siłą, że z płomyczka tylko iskierka drobna, a z promyczka tylko cieniutka srebrna niteczka została.

Płyną, płyną; promyczek drogę wskazuje, co zresztą nie było rzeczą trudną, bo księżycowy gościniec szeroki był, widny i równy, jak stół.

— Żeby nas tylko gdzie jaka chmura nie ogarnęła. Patrz, wiatr się zrywa.

Rzeczywiście, gdzieś z dołu od siwych lasów i skał ruszył ku naszym wędrowcom powiew lodowatego wiatru. Dla promyczka nie było to straszne, bo w ciągłych podróżach nawykł do chłódów i niewygód, ale biedny płomyczek skulił się jeszcze bardziej i cały drżący z zimna jęknął:

— Oj! zdmuchnie mnie, zdmuchnie!

— Nie zdmuchnie, nie bój się. On też nie taki groźny, jak się zdaje. Gdy go poprosimy ładnie, to nas przepuści. Dziwną mam jakoś wiarę, że nam się żadna krzywda w drodze nie stanie.

Jakoż przystanęli na chwilę, pokłonili się ładnie wiatrowi, przeczekali, aż ich minął, i ruszyli w dalszą drogę.

— No, teraz byle tylko z chmurą jaką nie było kłopotu, to już tak, jakbyśmy byli w domu.

A tu chmury akurat, jak na złość, gdzieś, jakby z pod ziemi, wyłazić zaczęły.

Nasi wędrowcy puścili się pędem, żeby je minąć, nim zdążą im drogę zastąpić; już, już, zdawało się, że wymkną im się szczęśliwie, gdy nagle z boku, niespodziewanie zupełnie, spadła im na karki wielka, czarna, ciężka chmura.

Księżycowy gościniec, srebrny przyjaciel, gwiazdki, wszystko zniknęło nagle, jak sen. Biedny płomyczek znalazł się w ogromnych przestworach nieba sam, samiuteńki, a do tego zbłąkany w chmurach. Zziębnięty był tak, że ledwie mógł się ruszać; zresztą dokąd tu się ruszyć, kiedy w tej szkaradnej chmurze żadnej drogi nie widać? I tylko na samym dnie serduszka kołatała się jeszcze kruszynka nadziei. Może, może się jakoś uda?

— Trzeba próbować, najgorzej tak stać w miejscu.

Ruszył płomyczek przed siebie — czarno, skrzył trochę w lewo — czarno, skrzył w prawo — czarno, ale jakby troszeczkę jaśniej. Jeszcze parę kroków i czarna zaślona wyraźnie się już przecierać zaczyna. Pędem, pędem biegnie płomyczek, rozgarnia przed sobą ciemności (wprawnie mu to szło, bo przecież całe życie nic innego nie robił) — i nagle staje znów na księżycowym gościńcu i odnajduje przyjaciela.

— Promyczek!

— Płomyczek!

I padli sobie w objęcia.

Długo tam było rozprawiania o minionej świeżo przygodzie, o tem, jak się promyczek mężnie z chmurami borykał, żeby zbłąkanemu towarzyszowi pomoc okazać, jak

bxi imo 308

braci na pomoc wzywał i nawet do wichrów chciał biec, żeby je prosić o rozpędzenie chmur. Płomyczek dziękował mu serdecznie i raz po raz ścisnął go i całował.

Bez przygód już odbyła się dalsza podróż. Gwiazdki ucieszyły się ogromnie z gością, wzięły go między siebie i nuż tańczyć, i gonić się, i biegać. Wszystkie mu się chciały przyjrzeć, to też zbiegowisko zrobiło się niebawem takie, że aż księżyc drzemkę przerwał i cybuchem od fajki całe to towarzystwo rozpędzać musiał.

Płomyczkowi podobało się to wszystko bardzo i jakiś czas bawił się doskonale, ale kiedy, zmęczony się bieganiem, siadł, żeby odpocząć, zrobiło mu się jakoś smutno.

— Co ci jest? — pytał zaniepokojony płomyczek, widząc osowiałego przyjaciela.

— Ja sam nie wiem, płomyczku kochany. Ładnie tu jest u was, gwiazdki śliczne i miłe, i miejsca do zabawy wszędzie pełno, ale mi jakoś zaczyna być tęskno do mojej izdebki, do dzieci, do małego Janka, do zegara i do szafy z lustrem, w którym się tak przyjemnie przegłą...

Wtem urwał, bo na polanie niebieskiej, na której siedzieli, pojawiła się nagle jakaś dziwna postać. Stary, siwy dziadek. Broda sięgała mu do pasa, w rękę miał kij sękaty, na głowie wielką futrzaną czapkę, z pod której sterczały wielkie siwe brwi i świeciły oczy dziwne jakieś, bo i miłe i jakby groźne równocześnie.

— A to kto? — spytał przyciszonym głosem płomyczek.

— Święty Mikołaj.

— To ten, co dzieciom choinki zapala i podarki roznosi?

— A ten sam. Potrafi on zresztą zamiast podarku i różgę zostawić. Co rok tak z nieba na ziemię wędruje.

— I teraz właśnie na ziemię idzie?

— A tak. Jutro Wigilja Bożego Narodzenia i Choinka, a on stary, prędko iść nie może, to wcześniej w drogę ruszać musi.

— A wiesz ty co? Możeby on mnie z sobą wziął zpowrotem na ziemię?

— Ej, a cóżby on z tobą zrobił? Na cóżbyś mu się przydał?

— Choćby do zapalania choinek.

— No, to spróbuj!

Łatwo to było powiedzieć, ale trudniej zrobić. Jakże tu takiemu staremu dziaduniowi drogę zastąpić i w rozmowy z nim się wdawać? Gotów jeszcze nie zauważyć i butem rozdeptać. A nuż się rozsierdzi, że mu czas zabierają?

Z duszą na ramieniu ruszyli dwaj przyjaciele naprzeląj przez polanę, żeby dziadkowi drogę zająć. Spostrzegł ich i zdumiał się bardzo, bo odrazu poznał, że to światełko nie z niebieskiej rodziny.

— A ty tu co robisz, smarkaczu? — huknął groźnie.

— Ja... ja... ja... tu z ziemi przyszedłem.

— POCO?

— Bo... bo... bo... mi oleju zabrakło.

— Jakiego oleju? Co ty pleciesz?

— Nnno, w Ja... jankowej lampce.

Wzruszył stary ramionami.

— Nic nie rozumiem. Czegóż ty chcesz ode mnie?

— Że... żeby mnie dzia... dziadunio zpo... powrotem na zie... ziemię za... zabrał.

— Takżeś wymyślił! Mało mam gratów na plecach? Jeszcze ciebie będą nosić?

Rozwiązał się jakoś język płomyczkowi.

— Mój dziaduniu jedyny, kochany! Weź mnie z sobą! Będę ci choinki zapalał, i krzesiwka z sobą nie będziesz potrzebował nosić, bo jak ci ogień w fajce zgaśnie, to ja

tylko hyc na fajkę i zaraz z niej takie kłęby dymu popłyną, że i krzesiwko lepszych nie wykrzesze. Mój dziaduniu kochany, weź mię, weź!

Zamyślił się stary.

— Ha, może i racja. Przydałby mi się taki, bo to i na ciemnych schodach nogę bez światła złamać można, i na nierównej drodze po nocy w dół jaki wpaść. Siadaj na kosturzel!

— Zaraz, dziaduniu, tylko się z promyczkiem pożegnaj.

Jakoż zaczęli się z promyczkiem ścisnąć i całować. Byliby się może i popłakali, ale że płomyczek wilgoci bardzo nie lubił, więc do łez nie doszło.

Zato aż się rozlegało na polanie.

— Mój ty promyczku najmilszy!

— Mój ty płomyczku kochany!

Aż święty Mikołaj zrzędzić zaczął, że mu pilno, bo się bał, że na czas z choinką nie zdąży. — Tyli szmat drogil!

Usadawił się płomyczek na dziadkowym kosturze i ruszyli w drogę.

Jak ruszyli, tak się nie rozstali więcej i do dziś dnia płomyczek świętemu Mikołajowi wiernie wszędzie towarzyszy, na krok nie odstępuje, choinki i fajkę zapala, na ciemnych schodach świeci i po wyboistych drogach prowadzi.



## 15. JEZUSOWA CHOINKA.

Dobrze już ze dwa albo i trzy stajania za ostatnią we wsi Walentową zagrodą, w szczerem polu, stała kapliczka z Matką Boską. Zima tego roku była ostra, śniegi ogromne, to i zasypało kapliczkę tak, że cała podstawa znikła pod śniegiem, i tylko jakby chatynka jaka na białym polu stoi z daszkiem, wielką białą czapą nakrytym. I krzaki też przysypało, co przy kapliczce rosły, że tylko grzebień prętów sterczał ze śnieżnej topieli.

Zbudziła się jednego dnia rano Matka Boska. Zziębła, bo mróz w nocy był niezgorszy; ręce i nogi ścierpły od niewygodnego z Dzieciątkiem siedzenia, ale się ruszyć boi, żeby małego Jezuska nie obudzić. Patrzy na swoje kochanie, uśmiecha się doń i do serca tuli, żeby mróz, ten łotr niegodziwy, do Dzieciątka zbliżyć się nie śmiał nawet na jedną chwilę.

Nagle matczyne serce silniej zabiło. — Toż to mojego małego dziś urodziny. Toż to dziś wigilijny dzień. Trzeba będzie o choince pomyśleć dla Dzieciny.

Zrobiła w kącie posłanie mięciutkie z mchów i wianków, co jeszcze od maja na kapliczce wisały, ułożyła w niem Dzieciątko jak mogła najostrożniej, otuliła swym płaszczem niebieskim, a sama w chodakach jeno i w ubożuchnej cieniutkiej sukience ruszyła w świat ku borom, siwiejącym woddali na krańcach widnokrzęgu.

Zaczął się gdzieś w wąwozie mróz z wichrem; dalejże szarpać i gryźć, korzystając z tego, że się słonko za chmury schowało. Głupięta! Wiedziały to, na kogo się porwały? Uśmiechnęła się Matka Boża i wnet cudowne słonko zajaśniało znowu na ziemi, a kiedy jeszcze w oku Najświętszej Paniénki ła się pokazała gorąca, to się tak ciepło zrobiło, że ze wszystkich strzech kapać zaczęło w słońcu żywe złoto, a stary Maciek, do stajni po siano na postnik idący, aż przystanął.

— Na zwiesnę idzie, czy jak? Gody przecie, a człek-by rzekł, że Wielkanoc!

A tymczasem światami, polami leciał wysoko stary kruk. Wypadła mu droga koło kapliczki, a że zdaleka leciał i zmęczony był mocno, więc się opuścił i siadł na krzaku.

Siedzi, sapie, pióra w skrzydłach poprawia i postępuje zcicha, bo to wiadomo, starość nie radość: i to go boli, i tamto uwiera, i to dolega.

Nagle zerknął zpodoba do kapliczki i aż dziób rozdziawił szeroko ze zdumienia. Na posłaniu z mchów Dzieciątko samo. Matuli niema, a ono śpi sobie cichutko, owinięte w niebieski płaszcz, uśmiechnięte, różowe.

— Hm! — mruknął kruk. — Gdzież to nasza Miłościwa Paniénka? pieluszki prać poszła w przerębli, czy śniadanie gdzie szykuje? Hej! mości Skoczybrózda, — wołał na zającą, który przebiegał akurat tamtędy — pójdźno waść tutaj!

— A co się stało?

— Nie widziałeś też waść Bożej Matuli z kapliczki?

— Nie, a czy niema jej w kapliczce?

— Niema. Samo tylko dzieciątko leży. Słuchaj wacpan! Musimy się tem zająć. Musiało jej coś ważnego wypaść, skoro dzieciątko zostawiła. Trzeba pomóc. Zwołaj waść duchem z pięciu swoich krewniaków! A i z ptaków spędź tu, kogo tylko napotkasz.

Po chwili gwarno zrobiło się pod kapliczką. Zajęcy kilka biegało w pobliżu, a na krzakach aż czarno było od wróblei, czyżyków, szczygłów, gilów i tym podobnej ptasiej hałasty.

Kruk wszystkimi rządzi i komenderuje. Jako warta honorowa stanęły przed kapliczką słupek dwa zające, w samej zaś kapliczce dwa gile w paradnych czerwonych mundurach. Pozostałe zające ruszyły we wszystkie światy strony szukać Matki Bożej. Z ptaków wybrał kruk kapelę rześistą, rozsadził ją w półkole na krzakach i kolendy śpiewać kazał, byle cicho cichusieńko, żeby dzieciątka nie obudzić. Nie w smak to poszło zwłaszcza wróblom, które się rade drą bez opamiętania. Przecież się jakoś pomiarkowały, tak że cichutko dzwoniła ta ptasia kapela, niczem głos sygnaturki zdaleka lecący po śniegu.

A zaś inne ptaszki ruszyły po pierzynkę dla maleństwa. Gdzie które mogło. Szczygiełki poleciały gromadą ku wąwozom, gdzie sterczały z pod śniegu liczne badyle ostu. Badyle były twarde i najeżone kolcami, ale zato nasionka ostu puchem były okryte. Puch mięciusięki w sam raz na pierzynkę. Wróble, posłane do stodoły po siano, wiele nie przyniosły, bo się bractwo po drodze pokłóciło o jakieś ziarna, zrobił się rwetes, bijatyka, tak że tylko kilka ich wróciło z tej wyprawy pod kapliczkę z powarzonemi bardzo minami. Zato szare śmieciuszki przyniosły każda po pęczku prawdziwego puchu, wyskubanego z własnych gniazd, a jeśli go tam nie było, to z własnych szarych piersi.

Zresztą niósł każdy, co mógł, czy źdźbło słomy, czy siana, czy pajęczynkę choćby z ciemnego kąta na strychu.

Od zajęcy zaczęły nadchodzić pierwsze sprawozdania. Jednemu grusza polna mówiła, że Matka Boża koło niej rano szła i nawet się za jej pniem przed wichrem na chwilę schroniła. Drugi słyszał, że Ją pono gdzieś pod lasem wi-

dzieli. Wreszcie dopadł kapliczki stary wąsaty Zajączkowski, co jedno tylko ucho miał, bo mu drugie na polowaniu kiedyś odstrzelili. Zasapany był zlekka, bo długo biegł.

— Znaleźliśmy! — krzyczy już zdaleka — Najświętsza Panienska do boru poszła po choinkę dla Jezuska. Widziałem Ją na Sarniej Polanie koło Krzyżowej Drogi.

Kruk podziękował mu skinieniem głowy i rzecze:

— Odpocznijże sobie waszmość, bo to szmat drogi godny. Mości Szarakiewicz! Mości Szarakiewicz! Proszę do mnie na słówko!

Z zajęcej gromadki podbiegł jeden ku kapliczce.

— Biegajże Waś, mój serdeczny, na Sarnią Polanę i powiedz Miłościwej Królowej, że Dzieciątko śpi spokojnie, że nie zziębło, że nad niem czuwamy, i że mu się żadna krzywda nie dzieje.

— Rozkaz!

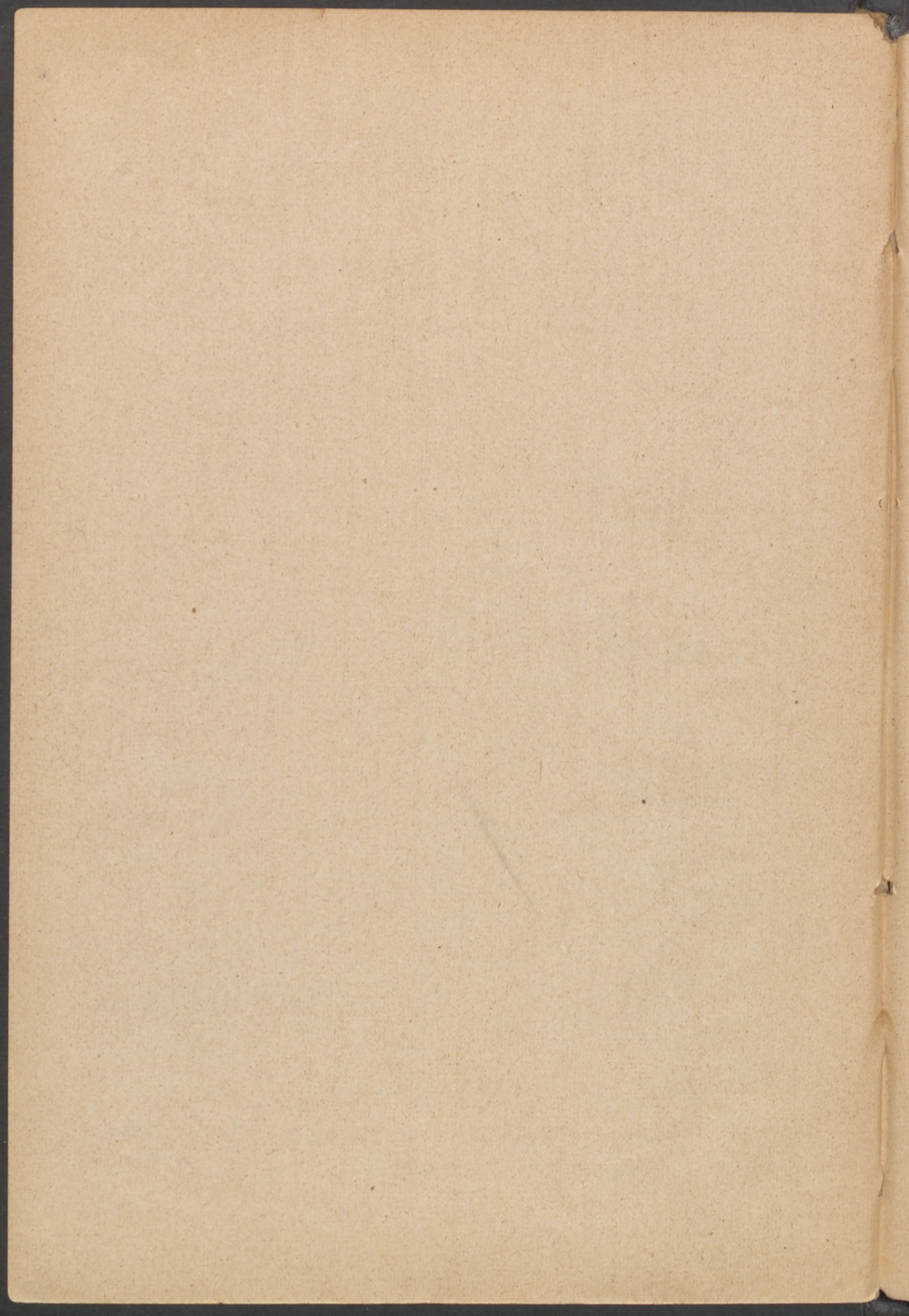
Kiedyindziej może byłby Imci Szarakiewicz tak łatwo Jego Krukowskiej Mości nie usłuchał, ale tu jakoś nie śmiał się przeciwie! A zresztą ten Kruk taki okropnie stary. Powiadają, że mu na święty Michał sto lat minęło. Czy nawet sto jeden?

.. Położył więc szarak uszy po sobie i ruszył z miejsca takim pędem, że tylko furczało w powietrzu. Potrafi tak który? — myślał biegnąc — może jeden Skokowski, a i tenby mi chyba rady nie dał, bo mnie dziś jakoś okrutnie niesie.

Leci, leci, aż tu nagle, przeskakując jednym susem przez rozstajne drogi, co z pod starego dębu w cztery świata strony wiodły, zobaczył na ziemi marchew, która widać chłopu z wozu upadła. Złociutka, wspaniała, ogromna.

Zabiło serce zajęce. — Boże! Co za pyszności! Stanać, czy nie stanąć? Jeżeli teraz tej marchwi nie złapie, to przepadło. Mało to będzie amatorów na taki specjał? A znów jakże tu stanąć, kiedy go do Matki Bożej posłali? Nie można.





A jednak ta marchew... — Obejrzał się załóżnie. — Stanać, czy nie stanać? Miły Boże! Aż mu się łzy w oczach zakręciły.

No, i nie stanał. Nogi zebrał, łzę tyknął i ruszył zdwojonym jeszcze pędem.

— Polecę prędko i wrócę — myślał. — Może do tego czasu nikt nie zobaczy.

Nie widział świat jeszcze takiego zajęczego pędu. Leciał, nie biegł. Osika, co na miedzy rośla, ledwie w bok odskoczyć zdążyła, bo zajac prosto na nią pędził i albo byłby sobie głowę o nią rozbił, albo ją przewrócił.

Dopał Szarakiewicz Sarniej Polany, widzi u samego już jej końca drobną, skuloną postać, jak brnie w głębokim śniegu. Jeszcze cztery susy przez polanę i oto staje przed Królową Niebios.

Postawa na bacność, łapką salutuje u czoła, głos mu drży, boć to przecież nie byle komu i nie byle jaki mel-dunek.

Ucieszyła się gońcowi Boża Matula, podziękowała mu przestodkim swym uśmiechem i rzecze:

— Bóg ci zapłać, maleńki. Jeśliś już taki dobry, to wróc do kapliczki, podziękuj krukowi ode mnie i powiedz, że już niedługo wrócę.

— Ojej! Moja mar... — jęknął zajac, ale się ugryzł w język.

— Co ci to, mały? Boli cię może co, żeś tak jęknął? Powiedz!

— Nie, nic. Już idę, Miłościwa Pani, już idę. Gdzieby zaś?

I pomknął znów z miejsca wskok. Rozstępowały się przed nim wystraszone badyle, dziwowały się trzciny na zamarniętem bagienku, kiwając zeszlęmi kitami i szumiąc długo a rozgłośnie, a on rwał przed siebie, tylko mu pęd

w uszach pogwizdywał. Żeby mu ta marchew, co ją na drodze zoczył, grzesznej pokusy nie czyniła, wyminął ją przebiegając za pagórkiem, tak że jej nawet zdaleka nie zobaczył.

Już był niedaleko kapliczki, kiedy dostrzegł innego zająca, biegnącego naprzeciwno.

— Sałatkiewicz, czy nie Sałatkiewicz? On sam, nie kto inny. A waść dokąd?

— Kruk mnie posłał do Matki Bożej, jako i was, panie bracie. Dzieciątko się na drugi boczek przewróciło i coś gaworzy przez sen, ale co, wymiarkować trudno. Pewno się budzić niedługo będzie, to trzeba, żeby Matula byli, bo jakże my sobie wtedy sami poradzimy.

— No, to leć, Sałatkiewicz, leć! Ale wiesz waść, co? — Tu Szarakiewicz jedno oko zlekka przymrużył. — Te rozstaje — wiesz — koło starego dębu, co to droga do Psiej Wólki prowadzi, to lepiej omiń. Okrutna tam gruda na roli, biec trudno, a zaraz za rolą na bagienku lód taki i ślizgawica, że nogi same wgórze jada. Wprawo za pagórkiem droga dużo lepsza. Bywaj zdrów, mości Sałatkiewicz!

— Bywaj zdrów, mości Szarakiewicz!

Pomknęli każdy w swoją stronę. Nasz szarak rychło już dopadł kapliczki, zdał raport krukowi i nie czekając długo wymknął się chyłkiem w stronę wiadomych rozstai.

Odetchnął. Marchew leżała postaremu na środku drogi. To będzie bał!

Już się miał zabrać do jedzenia, już ślinkę łykał i zęby ostrzył, kiedy zobaczył, że ktoś idzie polem niedaleko. W pierwszej chwili stchórzył i już, chwyciwszy swą marchew, chciał zmykać, gdzie pieprz rośnie, kiedy zmiarkował, że to nie kto inny, tylko Matka Boska z choinką do kapliczki wraca.



Ciężko było Matuli Bożej iść, bo z roli wiatr wywiał w tem miejscu śnieg ze szczętem, tak że gruda tam była naprawdę okrutna. Chodaki co krok ze stópek spadają, choinka ciężka w sukni się pląta.

Patrzy Imci Szarakiewicz na tę wędrówkę i kraje mu się zacne zajęcze serce. Radby pomóc, ale cóż poradzi? Wyglądzi to rolę? Udźwignie to choinkę?

Nagle zaświtała mu myśl. — Wiem, co zrobię. Matuli pomóc nie mogę, to choć Dzieciątko ucieszę. Zaniosę mu moją marchew. Moją prześliczną złotą marchew. Niech się zabawi i pożywi. To i Matula się ucieszą, jak przyjdą i zobaczą.

Jak pomyślał, tak zrobił. Marchew ostrożnie zębami ujął i niesie. — Boże! jak też to rozkosznie pachnie! To nic, to właśnie miło tak dać z dobrego serca coś bardzo cennego, nie byle jakiś tam śmieć, który nikomu na nic się nie przyda. Niech pachnie! Im bardziej pachnie, tem milej. Niech i zając pokaże, że ma serce, a nie kamyk albo kawałek drewna w piersiach.

Aż się dziwi pan Szarakiewicz, że mu tak jakoś dusza rośnie, że mu tak jakoś jasno, ciepło i miło.

Dziecina już się obudziła, kapela, uderzywszy we wszystkie struny i nadąwszy wszystkie gardziołka, grała właśnie prześliczną pieśń powitalną, kiedy Imci Szarakiewicz, płosząc muzykantów, dopadł z swym darem do kapliczki. Stanął słupka na baczność, sprezentował swą marchew, jak żołnierz swój karabin, wreszcie podał złoty rożek Dziecinie, która doń żywo wyciągnęła ręce. Dopieroż to się teraz zaczęły zajęcze tany, a figle, a kozły na śniegu. I Szarakiewicz, i Sałatkiwicz, i Skoczybrózdza, i Skokowski, i sam nawet stary Zajączkowski, jakby chciał pokazać, że choć ucha jednego mu brak, ale nogi zato ma nie od parady. A kapela rżnie teraz oberka, aż nogi same skaczą. Dzie-

ciątko nie posiada się z wielkiej uciechy. Śmieje się i rączkami klaszcze.

Co też to było szczęścia tego dnia w kapliczce! Niebawem nadeszła i Boża Matula, umordowana wprawdzie i zziębnięta, ale promieniejąca cała na widok roześmianej, uszczęśliwionej dzieciny.

Zaczęło się ubieranie choinki. Dwie małe jemiołuszki wzięły się do robienia łańcucha. Wydostały skądś długą, długą nitkę i nizały na nią naprzemian to czerwone ziarenko jarzębiny, to króciutką złotą słomkę, to peretkę jemioły, to gwiazdkę śniegu. Prześlicznie to wyglądało później na drzewku. Szarakiewicz dwa razy jeszcze do lasu biegął: raz po czerwone owoce głogu, drugi raz do wiewiórki po orzechy. Marchewka zawisła u góry na honorowym miejscu.

A wieczorem gwiazdki obsypały choinkę światełkami. Anioły długo w noc kolendy śpiewały. Cudnie było. Tego widoku już Szarakiewicz nie oglądał. Jako co dzień, zwinął się już o zmierzchu w kłębek w swem legowisku pod miedzą i chrapnął smacznie.

Co mu się śniło, nie wiem, ale mruczał coś przez sen tak rozkosznie, że pewno sny były bardzo przyjemne. Może swą pozłocistą marchew przez sen zjadał? Kto to wie?

\* \* \*

Na drugi dzień rano, po sumie, szedł drogą koło kapliczki stary Filip do córki, co w lesie u gajowego służyła. Mija kapliczkę, czapkę zdjął i już zdrowaśkę zaczyna, gdy nagle stanął jak wryty, głowę rozdziawił, ręce szeroko rozłożył, fajka mu na ziemię upadła.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! A ta choina skąd się tu wzięła? Czy me zamroczyło, czy mi co na oczy padło? Gorzałki przecie nie widziałem od soboty,

czy też może od poniedziałku. Nie, od soboty, jako żywo. Cośmy to z Marcinem z lasu wracali. Ale dziś...

Przecierał stary oczy ze zdumieniem i za pień chwycił, bo myślał, że może kto z żartów choinę w śnieg wtknął. Gdzie tam, ani rusz.

Nic nie pomogło, ni przecieranie oczu, ni szarpanie za pień. Nie dziwota, bo choinka w nocy korzenie przez głęboki śnieg aż do matki ziemi rodzonej puściła.

Z wiosną pokryła się cała jasnozielonemi ślicznemi łapkami.

I odtąd już rosła choina na chwałę Bożą przy samej kapliczce.

I już nie potrzebowała teraz nigdy Matula Boża do lasu po śniegu i grudzie po drzewko Boże dla dzieciny swojej wędrować.



D XI in. 303

## 16. LITANJA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO.

Królowo korony polskiej,  
Módl się za nami!

Pocieszycielko męki polskiej,  
Módl się za nami!

Jutrzenko nadziei polskiej,  
Módl się za nami!

Ostojo wiary polskiej,  
Módl się za nami!

Patronko sztandarów,  
Módl się za nami!

Patronko wodzów,  
Módl się za nami!

Patronko Baru,  
Módl się za nami!

Patronko nocy listopadowej i styczniowej,  
Módl się za nami!

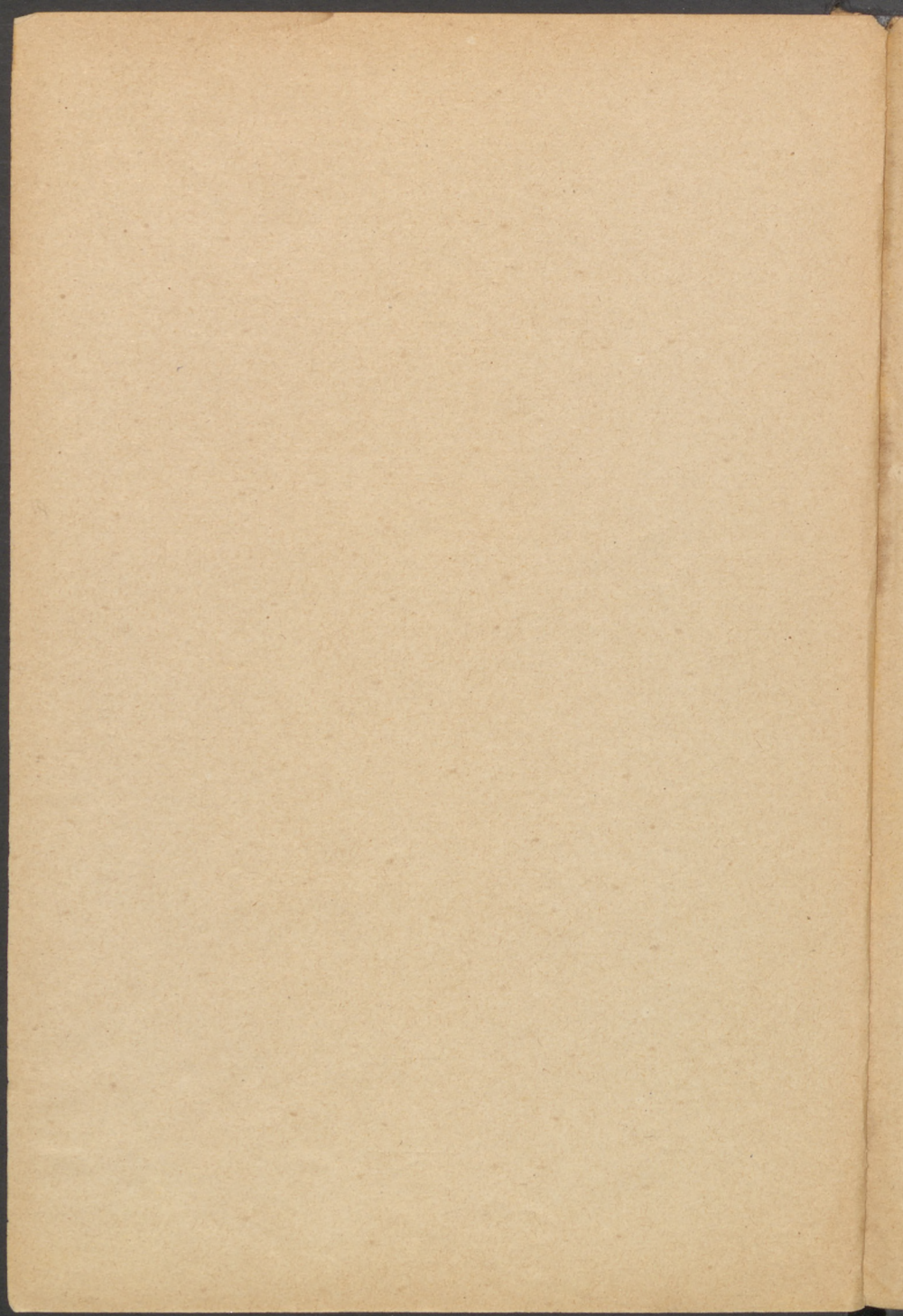
Patronko pobożowisk,  
Módl się za nami!

Patronko cmentarzy żołnierskich,  
Módl się za nami!

Patronko niedoli żołnierza,  
Módl się za nami!

Matko zwycięzców,  
Módl się za nami!

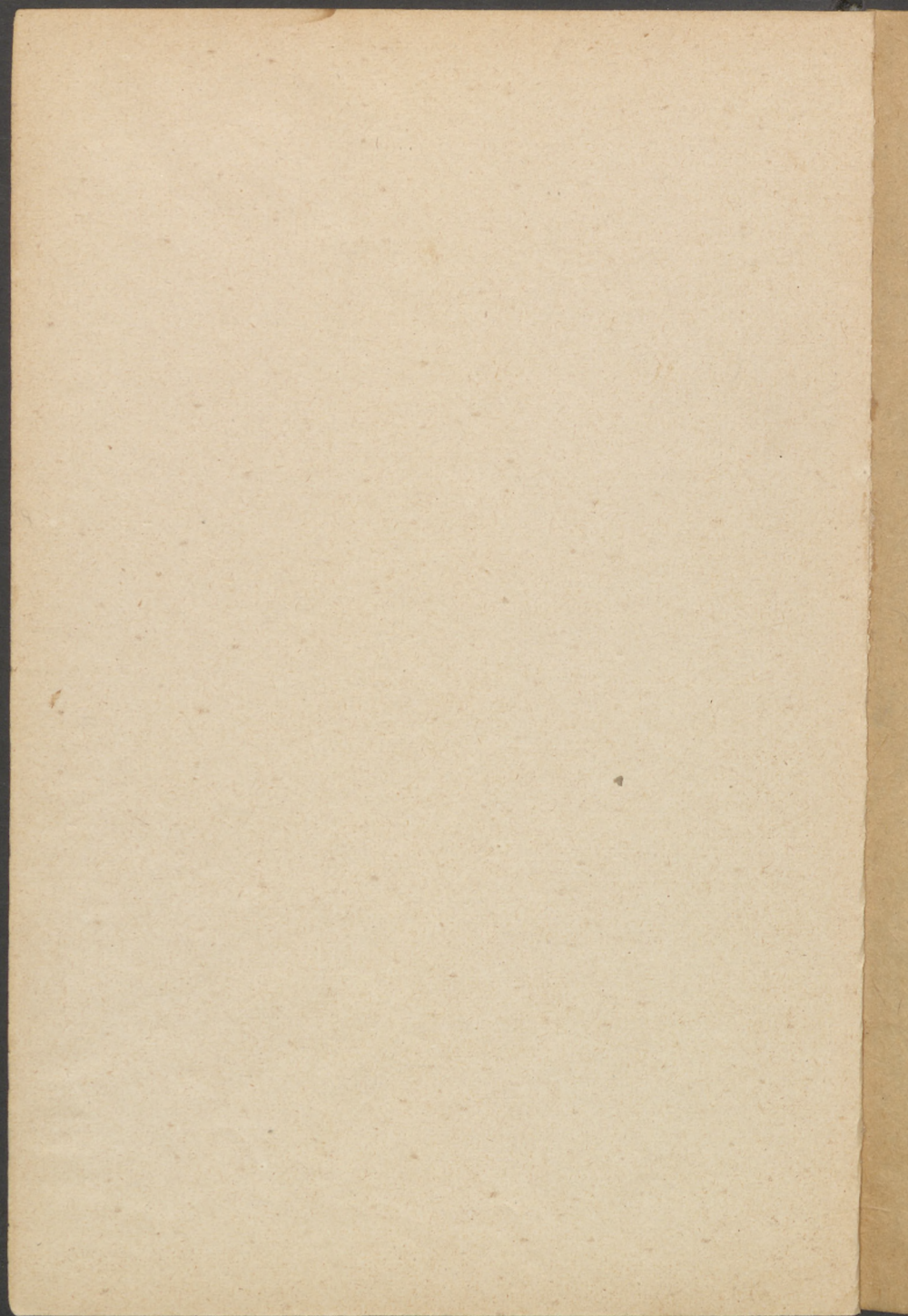
Matko zwyciężonych,  
Módl się za nami!  
Matko poległych,  
Módl się za nami!  
Matko rannych,  
Módl się za nami!  
Matko zaginionych,  
Módl się za nami!  
Matko w niewolę pobranych,  
Módl się za nami!  
Matko tułaczy,  
Módl się za nami!  
Królowo Grunwaldu,  
Módl się za nami!  
Królowo Kircholmu,  
Módl się za nami!  
Królowo Kłuszyna,  
Módl się za nami!  
Królowo Wiednia,  
Módl się za nami!  
Królowo Raclawic,  
Módl się za nami!  
Królowo Rokitny,  
Módl się za nami!  
Królowo Krechowiec,  
Módl się za nami!  
Królowo Radzymina,  
Módl się za nami!  
Gwiazdo zmartwychwstania Polski,  
Módl się za nami!



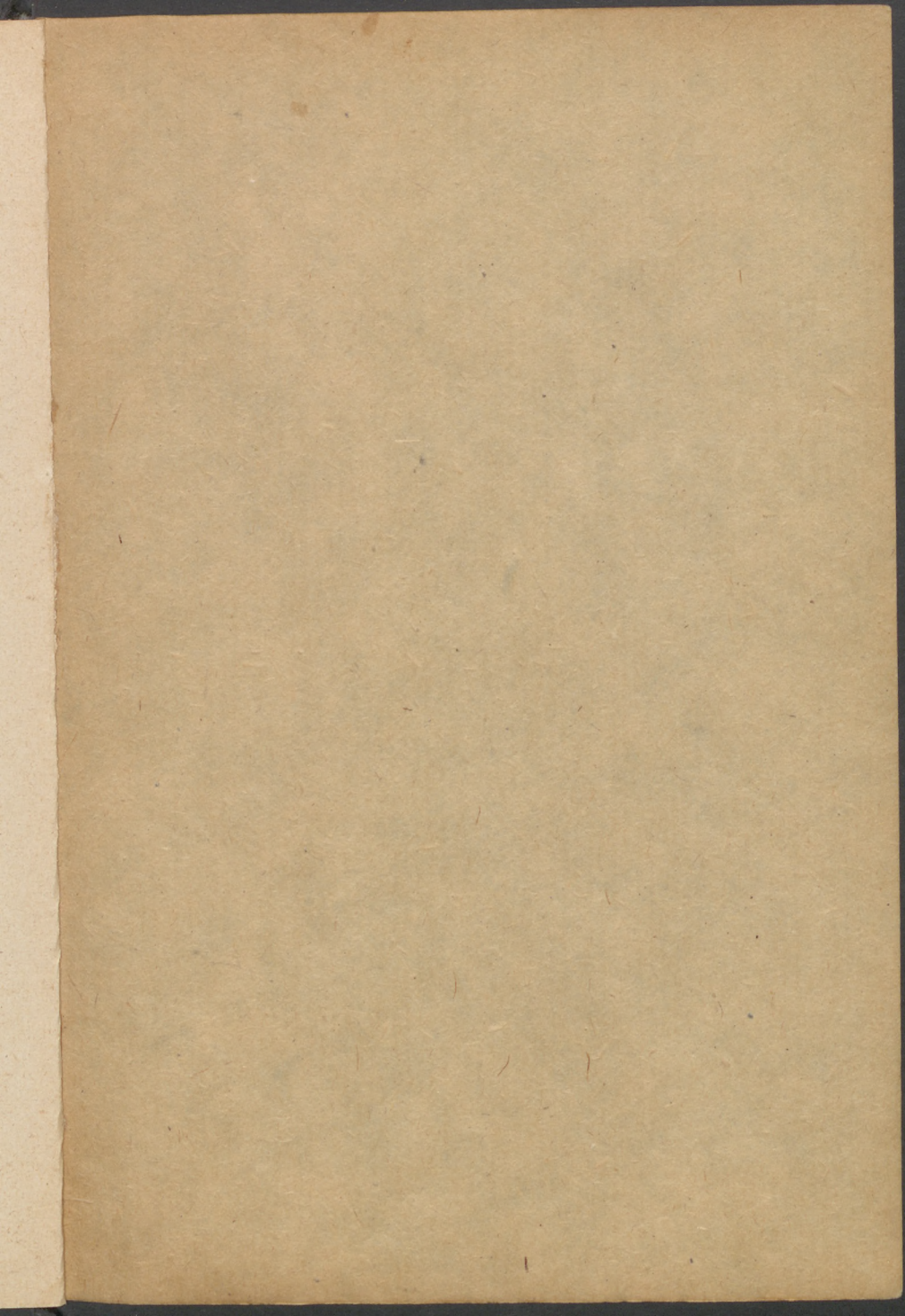
## SPIS RZECZY.

	Str.
1. Nowy rok . . . . .	3
2. Krokusy Najświętszej Pani . . . . .	8
3. Łza . . . . .	13
4. Matka . . . . .	15
5. Boże ptaszyny . . . . .	20
6. Świerszczykowe skrzypki . . . . .	24
7. Ryngraf . . . . .	29
8. Krzyżyk św. Mikołaja . . . . .	34
9. Sobotni promyk . . . . .	42
10. Pielgrzymka . . . . .	49
11. Jałmużna . . . . .	54
12. Giewontowi rycerze . . . . .	62
13. Kozuszek św. Mikołaja . . . . .	68
14. Płomyczek św. Mikołaja . . . . .	75
15. Jezusowa choinka . . . . .	85
16. Litanja żołnierza polskiego . . . . .	96

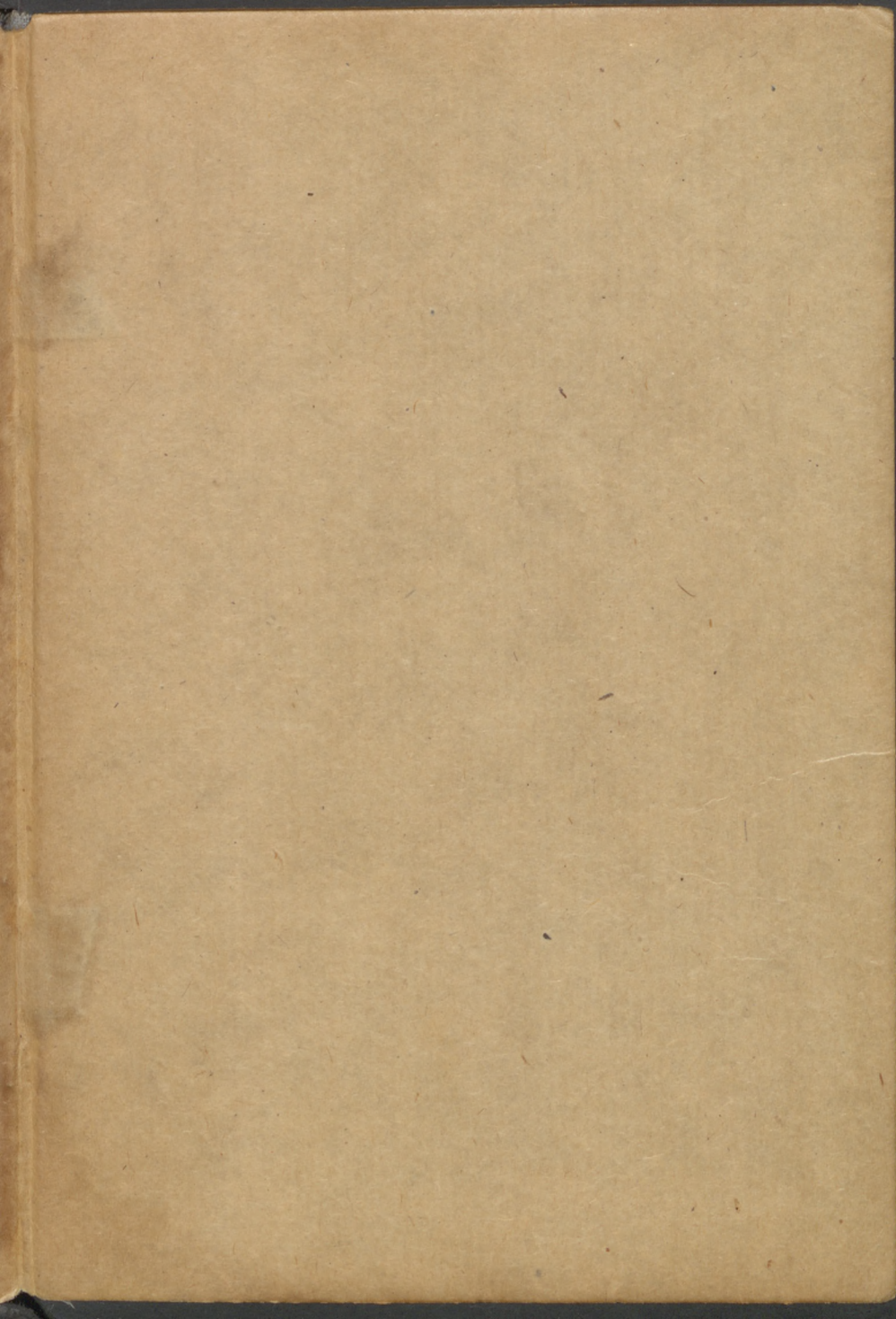
---











# „KSIĘGARNIA POLSKA“

TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

WARSZAWA, WARECKA 15,

POLECA

## powieści i opowiadania:

	Zł. gr.
<i>Bielińska M.</i> <b>Dwaj przyjaciele.</b> Opowiadanie na tle wspomnień rodzinnych z 1831 r. Wyd. 2-gie.	— 20
<i>Bukowiecka Z.</i> <b>Michałek.</b> Opowiadanie z czasów Jana Kazimierza. Wyd. 4-te. W opr.	2 50
<i>Erckman i Chatrhan.</i> <b>Dzielni górale.</b> Wyd. 2-gie. Brosz.	2 60
	W oprawie 3 40
<i>Korycki Wł.</i> <b>Listy ze szkoły.</b> Opow. dla młodzieży. W oprawie	3 80
<i>Kowerska Z.</i> <b>Na służbie.</b> Powieść. 2 tomy. Wyd. 2-gie.	7 —
<i>Nittman K. J.</i> <b>Za świętą sprawę.</b> Opowieść na tle powstania r. 1831. Z ilustr. St. Bagieńskiego. Brosz.	4 —
	W oprawie 5 —
<i>Opiota T.</i> <b>Pokorni oracze.</b>	2 —
<i>Popławska F.</i> <b>Dwie mogiły.</b> Powieść dla starszej młodzieży. Wyd. 2-gie. Z ilustr. A. Gawińskiego. W oprawie.	5 —
<i>Rawita-Gawroński Fr.</i> <b>Dzieje rodziny Żywotowskich.</b>	
Cz. I. <b>Marzenia.</b> (Rok 1846).	1 —
Cz. II. <b>Czyn.</b> (Rok 1863).	1 —
— <b>Moje przygody</b> w roku 1863 i 1864 w Kijowie.	— 92
<i>Rosinkiewicz K.</i> <b>Fatalna trzynastka.</b> Pow. harcerska. Z ilustracjami A. Gawińskiego. W oprawie.	5 —
— <b>Rogaty djabełek i jego bajki.</b> Z ilustracjami A. Gawińskiego.	— —
<i>Rządkowski J.</i> <b>Żołnierz nieznany.</b> Obrazki bojowe.	2 50
<i>Zahorowska K. (K. Joła).</i> <b>Zmartwychwstanie.</b> Opowiadania.	2 50